

W numerze: JERZY WILMAŃSKI *Spór o paragraf 22* • ZOFIA TARNOWSKA *Niech prawo – zawsze prawo znaczy* • TERESA WOJCIECHOWSKA *Legenda o tragicznej miłości* • ANDRZEJ GRUN *Lew pełen dobrych chęci* • Felietony • Zewsząd o wszystkim • Nowela kryminalna

# Odgłosy



26 (762)  
25. VI. 1972 r.  
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV



Fot. W. Parys

PIOTR OSIEJUK

Red. „Samorządu Robotniczego”

## Zgodność zamierzeń i aspiracji

Jesteśmy świadkami, a często nawet uczestnikami ogólnonarodowej dyskusji na temat funkcjonowania gospodarki. Proponowane zmiany mają doniosłe znaczenie polityczne i społeczne.

„Dostosowywanie stosunków produkcji do potrzeb rozwijających się sił wytwórczych – to w świetle marksizmu-leninizmu niezbędny warunek postępu”<sup>1)</sup>.

Udział w tej dyskusji to zarazem ponoszenie współodpowiedzialności za przyjmowane zadania, a także środek, pobudzający zainteresowanie swoim stanowiskiem pracy, problemami zakładu, a w konsekwencji – kraju. Rośnie w tym świetle rola klasy robotniczej, wzrasta upolitycznienie załóg – wyraźne znamię ustroju socjalistycznego.

Kierowanie gospodarką oznacza coraz częściej określanie zgodności zamierzeń z potrzebami i aspiracjami załóg, analizowanie celu pracy, uświadamianie stanu jej organizacji. W warunkach, gdy każdy pracownik jest świadomy obowiązku dbałości o interes społeczny, ogółu, gdy zostały przyjęte i upowszechnione zasady demokracji socjalistycznej, jednoosobowe zarządzanie nie może oznaczać kierownictwa autokratycznego.<sup>2)</sup>

Dalszemu rozwojowi gospodarki narodowej towarzyszyć będzie, jako wyraz rosnącej świadomości, wzrost znaczenia i roli (różnych form) samorządu robotniczego. Nowoczesnemu procesowi produkcji nada społeczny sens człowiek, odznaczający się racjonalizmem działania, o wyrobionych przekonaniach i potrzebach kulturalnych. Dotychczasowa praktyka funkcjonowania samorządu robotniczego dowodzi słuszności przekonania, że współdziałanie załóg w zarządzaniu podnosi skuteczność kierowania gospodarką. Godząc się z poglądem że: „nie liczba podjętych i nawet wykonanych uchwał decyduje o efektywności pracy samorządu, ale ich treść oraz znaczenie dla przedsiębiorstwa i załogi”<sup>3)</sup>, trzeba zwrócić bacniejszą uwagę na tę stronę działalności, która ma na celu kształtowanie umiejętności życia w zorganizowanym zespole ludzi, objaśnianie celu pracy. Nie speł-

Dalszy ciąg na str. 4

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## Hrabia po raz trzeci

Gastronomia jest tematem wdzięcznym, chętnie chwytanym, i to nawet wówczas, kiedy pisze ktoś o niej tak łagodnie i bezbarwnie, jak ja.

Po wydrukowaniu dwóch odcinków poświęconych restauracjom i kawiarniom, najrozmaitsi ludzie zaczęli wypytywać mnie na ulicach, czy wreszcie odnalazłem Hrabiego. Niektórzy mieli do mnie pretensje, że poruszając ten ważki problem nie pojechałem na pełny gaz, waląc po nazwisku brudasów i złodziei. Niektórzy, zainteresowani problemem bezpośrednio, odwiedzali mnie w redakcji, budując sobie na wszelki wypadek alibi. Niektórzy dzwoniли do mnie po nocach

– raz grożąc, raz proponując spotkanie na miście w celu poszerzenia moich horyzontów myślowych o rozliczne knajpiane nieprawości i matactwa, a kiedy pytałem ich o godność, twierdzili, że to nie ma nic do rzeczy... Udź w stół, odezwą się nożyce... Jedni przychodzili, inni w ostatniej chwili stosowali uniki, chowając przede mną swoje skrzywdzone, poniżone twarze.

Jeśli chodzi o listy do redakcji, to przyszedł tylko jeden, podpisany przez trzynastu pracowników restauracji „Przekąska”, mieszczącej się przy rogu Nawrot i PKWN. Czyniąc zadość autorom, przytaczamy go w pełnym brzmieniu:

W „Odgłosach” z dnia 2. 04. br. ukazał się artykuł Andrzeja Ma-

kowieckiego pt. „Czterdzieści tysięcy pocatunków”.

Nie negujemy potrzeby publikowania artykułów zwalczających alkoholizm i piętujących margines społeczny, ale nie możemy zgodzić się ze sformułowaniami p. Makowieckiego, który nas, uczciwie pracujących ludzi, bufetowe, kelnerów, pracowników kuchni, cynicznie spycha właśnie na ów margines społeczny. Jest to zawód trudny, bardzo nisko wynagradzany, przeciętne zarobki miesięczne kształtują się od 1500 – 1800 zł. (Brak tutaj „do” – przyp. A. M.). Nic też dziwnego, że wielu rezygnuje z tej pracy, przychodzą

Dalszy ciąg na str. 5



Przywódca partii i szef rządu polskiego zabrali ostatnio głos na temat sytuacji w Europie i naszej polityki zagranicznej. Mowa tu oczywiście o naradzie centralnego aktywu partyjnego, jaka odbyła się w piątek. Referat premiera Piotra Jaroszewicza oraz końcowe przemówienie I sekretarza KC PZPR — Edwarda Gierka przyniosły ocenę naszej aktywności na polu międzynarodowym, wynikającą z fundamentalnych założeń polskiej polityki zagranicznej oraz analizę warunków trwałego bezpieczeństwa i współpracy w Europie. Były jak gdyby podsumowaniem 7-miesięcznego okresu, jaki minął od VI Zjazdu Partii, na którym wyraźnie sformulowano zadanie wzmoczenia naszej aktywności na forum międzynarodowym. Bilans tego okresu wypadł pomyślnie.

W Europie następuje stabilizacja polityczno-terytorialna i poprawa stosunków między państwami. Układy ZSRR — NRF i Polska — NRF, porozumienie berlińskie, porozumienie między obu państwami niemieckimi na temat komunikacji oraz prowadzone rozmowy, których celem jest doprowadzenie do zawarcia układu generalnego między NRD i NRF — stanowią kompleks spraw. Do całkowitego zamknięcia tego kompleksu niezbędne jest jeszcze uznanie przez NRF układu monachijskiego za nieważny od samego początku, a także międzynarodowo-prawne uznanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej oraz wprowadzenie obu państw niemieckich do ONZ.

Na naszym kontynencie powstały obecnie warunki, aby budować trwałą strukturę bezpieczeństwa i równoprawnej współpracy. Temu właśnie powinna służyć europejska konferencja, której inicjatorami są kraje socjalistyczne. Po moskiewskich i warszawskich rozmowach prezydenta Nixona znacznie zwiększyły się szanse jej zwolnienia i powodzenia.

Na ostatniej sesji Rady NATO kraje zachodnie wyraziły zgodę, bez żadnych formalnych warunków wstępnych, na podjęcie wielostronnych rozmów przygotowawczych. Opublikowany po sesji komunikat przynosi akceptację fińskiej propozycji, aby rozmowy te odbyły się w Helsinkach, sugeruje, aby toczyły się one na szczeblu ambasadorów, akredytowanych w stolicy Finlandii, nie precyzując jednak ich terminu. Wynika to prawdopodobnie stąd, iż kraje NATO mają rozbieżne opinie co do daty europejskiej konferencji. Najwcześniejszy termin wysuwa Francja — wrzesień.

Poztywne odniesienie się do konferencji znajduje swój wyraz także w sformułowaniu celów, jakie przed nią stają. Nastąpiła tu korzystna ewolucja stanowiska od grudniowej sesji NATO. Obecnie stwierdza się, że konferencja ta powinna służyć redukcji napięcia i usunięciu przeszkód na drodze do ściślejszych stosunków i rozwinięcia współpracy.

Walce o realizację zasad pokojowego współistnienia powinno towarzyszyć wygaszenie ognisk napięcia i wojny na innych kontynentach, a przede wszystkim w Wietnamie.

Ostatnie dni ożywiły nadzieje na wznowienie rozmów paryskich, choć nadal brak ze strony USA gotowości dyskusowania 7-punktowego programu pokojowego, mającego poparcie krajów socjalistycznych. W prasie zachodniej spekuluje się na temat ostatniej podróży Kissingera do Pekinu, wiążącą ją z wojną wietnamską. Nie brak jednak również komentarzy, wyrażających wątpliwość, czy przed listopadowymi wyborami prezydenckimi w Stanach Zjednoczonych może w stanowisku Waszyngtonu wobec wojny indochińskiej nastąpić jakiś zasadniczy zwrot.

Tymczasem sytuacja militarna przedstawia się tak, że mimo uciążliwych bombardowań DRW — ok. 300 ataków dziennie — i blokady portów — po 12 tygodniach ofensywy sił wyzwoleniczych nadal utrzymują one pełną inicjatywę w swym ręku. Potwierdzają to opinie amerykańskie, z których wynika, że podjęte środki militarne okazały się niewystarczające.

Ostatnio sekretarz obrony — Laird zmuszony był przyznać, że koszty wojny w tej sytuacji wzrosną najprawdopodobniej o dalszych 5 mld dolarów, tj. do ponad 14.

Polska w kwestii wojny indochińskiej zajmuje niezmiennie stanowisko, potwierdzone raz jeszcze na wspomnianej naradzie: udzielamy i będziemy udzielać pełnego poparcia narodowi Wietnamu. Jesteśmy przekonani, że jedyną drogą do pokoju prowadzi przez rokowania, przyjmujące jako podstawę rozwiązania konfliktu propozycje rządu DRW i Tymczasowego Rewolucyjnego Rządu Wietnamu Południowego.

Z wydarzeń ostatnich dni, świadczących o naszej aktywności międzynarodowej, wymienimy wizytę w Austrii min. Spraw Zagranicznych — S. Olszowskiego. Służyła ona wymianie poglądów na temat stosunków bilateralnych oraz sytuacji międzynarodowej, przyniosła podpisanie umowy o współpracy kulturalnej i naukowej. Kanclerz Republiki Austrii oraz minister Spraw Zagranicznych zaproszeni zostali do Polski.

Opublikowany po rozmowach komunikat stwierdza m. in., że:

„Obie strony uzgodniły rozpoczęcie wkrótce rozmów międzynarodowych w sprawie zawarcia porozumienia o całkowitym zniesieniu obowiązku wizowego między obu krajami. Wyrażono także zainteresowanie dla zawarcia umów turystycznej i konsularnej”.

Wiedeńskie rozmowy szefów dyplomacji polskiej i austriackiej wzbudziły duże zainteresowanie w Europie. Liczne komentarze prasowe akcentują zbieżność stanowisk w kwestiach międzynarodowych oraz zapowiedź rozwinięcia stosunków dwustronnych na znacznie poszerzonych płaszczyznach.

W. SLAWSKI

● Zewsząd o wszystkim ●

## Dzień w Sajgonie

„STAMPA” — TURYN

„Róbcie tak, jak ja” — rozkazuje pułkownik Thyk, dowódca oddziałów sajońskich w nadbrzeżnej prowincji Binh Dinh, która w połowie znajduje się w rękach Vietcongu. Należy on do grupy wojskowych „nowej fali”, którzy próbują przy pomocy rozstrzelani i ultimatów poprawić sytuację po niesławnym pogromie wojsk sajońskich pod Quang Tri. Usiłuje on za wszelką cenę powstrzymać ucieczkę wojsk, wnieść tamę na drodze uciekinierów do Sajgonu. Podczas gdy chłopcy, których wojna wygania z ich domostw, przenoszą się po prostu do innych wsi, burzują Hue, Da Nang czy Pleiku, ani trochę nie wierząc w „żelazną obronę”, obiecywaną przez Thieu, już przy pierwszych eksplozjach rakiet Vietcongu pakuje walizy.

W kraju, w którym od 30 marca, tj. od momentu rozpoczęcia ofensywy wojsk wyzwoleniczych Południowego Wietnamu, nie ma już „stref bezpiecznych”, stolica wydaje się być ostatnim schronieniem. Wprawdzie patroli Vietcongu znajdują się 40 km od miasta, ale nie wiedzieć dlaczego, panuje tutaj powszechna opinia, że do Sajgonu wojna zawita w ostatniej kolejności i że w najlepszym wypadku będzie on ostatnią szansą dla uciekinierów do Hongkongu.

Bilet na samolot do Sajgonu kosztuje na „czarnym rynku” osiem razy drożej, niż po cenie oficjalnej, a gazety informują o licznych wypadkach sprzedawania fałszywych biletów po 100 dolarów od sztuki. Życie jest sparaliżowane, a nad stolicą zawisła niebezpieczna lawina uciekinierów, która grozi klęską głodu w mieście i dezorganizacją jego obrony.

Policja przeczesuje dziś miasto, poszukując uchylających się od wojska. Pod broń wezwano 56 tysięcy żołnierzy, a w czasie ostatniej mobilizacji studentów, przy sposobności, powołano do wojska dalszych 40 tysięcy mężczyzn. Teraz trzeba wyłowić w ogromnym sajońskim mrowisku nowe tysiące, by rzucić je pod Kon Tum i An Loc. Obecnie co czwartego mieszkańca Południowego Wietnamu włączono w wojskowy mundur.

W ogrodzie przed budynkiem władz miejskich ustawiono dwa czołgi, zdobyte rzekomo podczas walk w prowincjach północnych. Z megafonów grzmia marsze wojskowe, a ludzie zbierają się, żeby popatrzeć na widowisko. Gapiom rozdaje się klęcza z kukurydzy i baloniki, a tymczasem skauci obchodzą zebranych i nawiązują do „oddania wszystkiego dla zwycięstwa”. Oszołomiony tłum milczy, nie spuszczając wzroku z potężnej broni, którą dysponują

tylko bogate armie i którą przywykli oglądać w rękach Amerykanów. W Cholon, na nadbrzeżnych ulicach Mekongu, na drogach wiodących na lotnisko i na wszystkich peryferiach miasta obracają się ogromne uszy radarów. Oczekują na uderzenie. A po opustoszałych i brudnych ulicach przelatują szybko transportery opancerzone, uzbrojone w ciężkie karabiny maszynowe, boć przecieża za każdym rogiem może się ukrywać niewidoczny wróg, czekając tylko na sygnał do ataku. Przepuszcza się, że setki partyzantów już przeniknęły do miasta, a broń przeniosły kobiety w koszykach z żywnością. Czterdzieści kilometrów od Sajgonu, szerokim półkolem zalegają, gorączkowo umacnianie, obronne pozycje sajońskich wojsk. W prasie szaleje cenzura.

Symptomem przerażenia są ceny za miejsce w taksowkach, którymi dziennikarze dojeżdżają z Sajgonu na front. Są one dosłownie rynkowym biluletnym, który precyzyjnie informuje o naciśku Vietcongu. W pierwszej dekadzie maja taka przejeżdżka kosztowała 30 dolarów za kurs, dziś kosztuje o 10 dolarów więcej. „Mnóstwo żołnierzy Vietcongu” — wyjaśniają kierowcy taksowek. Wokół miasta, na polach, leży wiele trupów ludzi, zaskoczonych przypadkowym ogniem ze śmigłowców. Na szosie rdzewieją dwa sajońskie czołgi, podobne na pozostałość po jakiejś iluzorycznej armii. Jem obiad z posłem opozycji, który prosi mnie o niewymienianie go z nazwiska.

— Wszyscy uważamy — mówi on — że wynik wojny rozstrzygnie się nie pod Hue, lecz w Paryżu. Pewnego pięknego dnia amerykański ambasador zjawi się u Thieu i powie, że nadszedł koniec. Cały ten balagan ze specjalnymi pełnomocnictwami, pod pretekstem „groźnego niebezpieczeństwa, w jakim znajduje się ojczyzna”, jest w rzeczywistości potrzebny rządowi, żeby móc utracić każdą możliwą alternatywę. Thieu zrozumiał, że jego pozycja słabnie i teraz „knebluje wszystkim usta”.

Intrygi południowowietnamskich polityków — to moc krzywd i popiółów, skrywanymi latami. Obecnie Thieu musi poświecić któregoś ze swoich wiernych generałów, ale cały administracyjny i wojskowy aparat jest nadal ściśle związany z jego losem. Sajgon żyje układem, w atmosferze nieufności. Po ulicach, na jaskrawo czerwonych „Harleyach”, rozjeżdżają wojowniczo nastrojeni policjanci, grzmia ekstremistyczne hasła, bogacze drżą o swoje pieniądze, a tylko pozornie pasywni biedacy czekają na moment, by przyłączyć się do zwycięzców.

„Moim zdaniem, tragedia wiosła rozpoczęła się w sierpniu 1939 roku. W tym czasie, z własnej inicjatywy, udałem się do rezydencji

zistowskich Niemiec. W zamian proponowałem politykę współpracy, ponieważ, biorąc pod uwagę nasze położenie geograficzne, mogłoby i powinniśmy byli, żyć w niechęć do potężnej koncentracji Niemców w sercu Europy, ale nie mogliśmy jej nie zauważyć.

„Niemcy, latem 1939 roku, wysunęli roszczenia wobec Polski. Jednakże Ribbentrop, podczas niejednokrotnych spotkań z naszym ambasadorem zaprzeczal, iżby Niemcy zamierzały doprowadzić konflikt do ostatecznych granic. Miałem co do tego wątpliwości i 11 sierpnia przyjechałem do Salzburga, gdyż bardzo mi zależało na ściślejszej informacji w tej sprawie.

I właśnie w swojej rezydencji, w oczekiwaniu na obiad, Ribbentrop podał mi do wiadomości decyzję Niemiec o „rzuceniu iskry na proch”. Powiedział to takim tonem, jak byśmy rozmawiali o czymś, co nie ma żadnego znaczenia. Spacerowaliśmy po parku.

— O co wam właściwie chodzi — spytałem. — O Gdańsk, czy o korytarz?

— O coś znacznie więcej — odpowiedział Ribbentrop, świdrując mnie swoim zimnym, nieruchomym spojrzeniem. — My chcemy wojny...

Zrozumiałem, że ta decyzja jest nieodwołalna i ujrzałem w wyobraźni cały ogrom tragedii, która spadnie na ludzkość. Obiad z moim niemieckim kolegą trwał tego dnia dziesięć godzin i trudno by powiedzieć, że upłynął w atmosferze serdeczności. To samo miało miejsce w ciągu dwóch następnych dni, podczas moich spotkań z Hitlerem; wszystkie moje argumenty spływały z Niemców, jak krople wody z marmurowej płyty.

Niemcy zbudowali swoje plany na zupełnie fałszywych podstawach. Byli przekonani, że Francja i Anglia będą beznamiętnie obserwować rozprawę Niemców z Polską. Ribbentrop nawet założył się ze mną o to.

W wypadku, jeśli Francja i Anglia zachowają neutralność ja miałem mu dać cenny obraz włoskiego mistrza, a jeśli nie, Ribbentrop miał mi ofiarować kolekcję starożytnej broni. Świadków naszego zakładu było wielu i jeszcze kilkakrotnie wspominałem o nim ambasadorowi niemieckiemu.

Jednakże Ribbentrop wolał o tym zakładzie zapomnieć i nie oddał mi swojej przegranej, jeśli nie leczyc tego plutonu żołnierzy, który — jak ma na to nadzieję — rozliczy się ze mną z zakładu...

Po Salzburgu, w okresie naszej neutralności i w czasie wojny, polityka Berlina w stosunku do nas była utkana z kłamstw, intryg i oszustw. Zawsze odnoszono się do nas nie jak do partnera, lecz jak do niewolnika. Nie konsultowano się z nami nigdy i nawet najważniejsze decyzje komunikowano nam wtedy, gdy sprawa była już w pełnym toku. Trzeba było być aż tak haniebnym tchórzem, jak Mussolini, żeby to wszystko znosić i nawet udawać, że się tego nie widzi.

O napaści na Rosję zostaliśmy powiadomieni w pół godziny po przekroczeniu przez wojska niemieckie wschodniej granicy Reichu. A przecież szło tu o decyzję ważną dla ewolucji konfliktu europejskiego, nawet jeśli Niemcy nie podzielali tego punktu widzenia. Przed wtargnięciem, 16 czerwca, byłem wraz z Ribbentropem w Wenecji i omawiałem kwestię włączenia Chorwacji do Paktu Trójstronnego. Cały świat hucał o nieuchronnej napaści Reichu na Rosję, kiedy jeszcze atrament na pakiecie przyjaźni między Niemcami i Rosją nie zdążył wyschnąć. Spytałem o to mojego kolegę z „osi”, w chwili, gdy płynęliśmy gondolą z hotelu do pałacu hrabiego Volpi (byłego min. finansów, członka „Wielkiej Rady Faszystowskiej”), który zaprosił nas na obiad.

— Mój drogi Ciano — odpowiedział Ribbentrop, cedząc wolno słowa — na razie nie mogę panu nic powiedzieć, dopóki wszystkie decyzje ważną się w zagadkowej duszy fuhrera. Ale jedno jest pewne: jeżeli uderzymy, to Rosja Stalina zostanie wymazana z mapy świata w przeciągu ośmiu tygodni...

Obok braku zaufania do Włoch, zabrakło im także umiejętności zrozumienia realiów, a to — jak się okazało — wystarczyło, by przegrać wojnę.

GALEAZZO CIANO  
cela nr 27, więzienia  
w Weronie,  
23 grudnia 1945 roku.

## W walce z rakiem

„NEW YORK TIMES” — NOWY JORK

Już wkrótce Stany Zjednoczone prześlą do Związku Radzieckiego próbki około stu rodzajów wirusów raka, wykrytych i poddawanych badaniom przez uczonych amerykańskich na przestrzeni ostatnich sześćdziesięciu lat.

To przekazanie materiałów, otrzymanych w toku szeroko zakrojonych badań, nastąpi w wyniku porozumienia o współpracy, podpisanego w Moskwie podczas radziecko-amerykańskiego spotkania na szczycie. O planach przekazania wspomnianych próbek wirusów powiedział na konferencji prasowej w Waszyngtonie, 25 maja, Frank Rauscher, nowy dyrektor Krajowego Instytutu Onkologicznego.

Powiedział on, że przewiduje się wymianę szeregu perspektywicznych preparatów przeciwrakowych, a także materiałów naukowych, poświęconych badaniom problemu raka.

F. Rauscher wspominał, że uczeni radzieccy stosują pewne preparaty przeciwrakowe, które są mało znane w Stanach Zjednoczonych. Preparaty te będą poddane próbom przez Amerykański Instytut Onkologiczny. Oprócz tego, USA prześlą egzemplarze niektórych amerykańskich pism onkologicznych, a ZSRR udostępni uczyom

Stanów Zjednoczonych materiały szeregu swoich pism naukowych, przełożonych na język angielski.

Wymianę próbek wirusów uważa się za wydarzenie szczególnie ważne, ponieważ na przestrzeni ostatnich lat, zarówno w Ameryce, jak i w innych krajach uczeni bardzo uważnie badają problemy powstawania chorób rakowych u ludzi i przypuszczają, że jest ono związane z zakażeniem infekcyjnym wirusami bodźcowymi.

Ustalono, iż wiele wirusów wywołuje raka u zwierząt, ale nie udowodniono jeszcze, żeby jakikolwiek z nich zdolny był spowodować chorobę rakową u człowieka.

Wśród próbek wirusów, które zostaną wysłane do Związku Radzieckiego, znajdują się egzemplarze bezpośrednio związane z występowaniem raka u człowieka, a także wiele odmian wirusów, które — jak stwierdzono — wywołują raka u gryzoniów, ptaków i innego rodzaju zwierząt.

F. Rauscher podał do wiadomości, że amerykańscy uczeni z wielkim zainteresowaniem oczekują na otrzymanie próbek wirusa, który, jak utrzymują uczeni radzieccy, został wykryty u pacjentów chorych na białaczkę i okazał się zdolny do wywołania raka u małp.

## Spóźnione wyznanie winy

„LECTURE POUR TOUS” — PARYŻ

Zamieszczona poniżej publikacja jest wyjątkiem z „pamiętnika” Galeazzo Ciano, min. spraw zagranicznych, zlecia i zausznika „Mussoliniego”. „Pamiętnik” jest ilustracją hipokryzji faszystowskich liderów, którzy, przeczuwając katastrofę, zrzucali z siebie odpowiedzialność za dokonane zbrodnie.

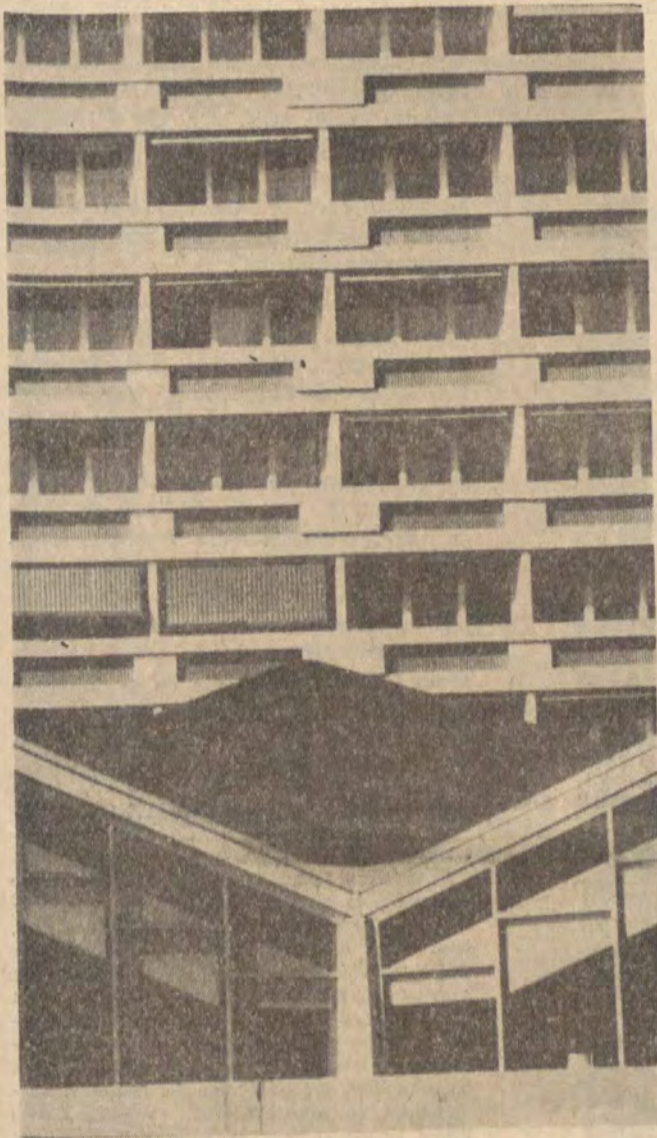
„Moim zdaniem, tragedia wiosła rozpoczęła się w sierpniu 1939 roku. W tym czasie, z własnej inicjatywy, udałem się do rezydencji

Hitlera w Salzburgu i nieoczekiwanie stanąłem oko w oko z zimną i cyniczną decyzją Niemców spowodowania konfliktu.

Sojusz z Niemcami został podpisany w maju. Zawsze sprzeciwiałem się temu i usiłowałem, na różne sposoby zwrócić z naszą odpowiedzialnością na upoczywle naciśki Niemców. Nie miało żadnego sensu, byłem o tym przekonany, wiązać nas na śmierć i życie z losem na-

JERZY WILMAŃSKI

# SPÓR O PARAGRAF 22



**N**iedawno na walnym zebraniu RSM „Lokator” delegaci wybrani przez wieloletnią rzeszę członków-lokatorów nie przegłosowali statutu spółdzielni, przedstawionego im przez Radę.

Nie znalazłem na ten temat informacji prasowych, choć rzecz jest w dziejach tej zasłużonej placówki bez precedensu. Informacja jednak błyskawicznie „przebiegła” na miasto — nie dziwnego przecież, bo poważny procent lokatorów w „lokatorskich” blokach mieszka.

Zagłębiłem się więc w tekst statutu, aby wyluskać sformułowania, które wywołały sprzeciw spółdzielców. Interesują mnie one nie tylko jako publicystę, ale także jako jednego z tysięcy — szeregowego członka „Lokatora”.

Wątpliwości wzbudził zatem punkt 2 paragrafu 22. Brzmi on: „obowiązek uiszczania czynszów i opłat powstaje z dniem postawienia członkowi do dyspozycji przydzielonego lokalu, a ustaje z dniem zakończenia remontu lokalu przed oddaniem go następnemu użytkownikowi, jednak nie później niż po upływie 14 dni od opróżnienia lokalu przez członka i osoby wspólnie z nim zamieszkujące”.

Postanowienie nie budzi pozornie wątpliwości. Ale tylko pozornie. Gdyby w systemie administracyjno-budowlanym wszystko było idealnie, fakt otrzymania przydziału oznaczałby automatycznie możliwość zamieszkania. Życie jest jednak dość dalekie od ideału. Mijają nieraz tygodnie zanim usunięte zostaną usterki, dostrzeżone przez lokatora; bardzo często (dotyczy to głównie nowo zasiedlanych bloków) mieszkania wymagają uciążliwej „kosmetyki”, żeby można w nich zamieszkać. Za ten czas lokator płaci czynsz.

Zdaje sobie sprawę, że problem nie jest zbyt wielki. Myślę również, że kwestionowanie owego punktu w statucie wynikało nie ze sprzeciwu wobec zasady, lecz zrodziła ów sprzeciw praktyka, która uczy, że droga do zamieszkania we własnym M-3 jest nieraz zbyt daleka i uciążliwa nawet z przydziałem w ręku.

Sprzeciw wobec tego punktu statutu, który byłby w sytuacji idealnej oczywisty, zrodziła niedobra praktyka. Ludzie po prostu wiedzą, z autopsji i doświadczeń innych, że „postawienie lokalu do dyspozycji” nie oznacza jeszcze możliwości bezwzględnego zamieszkania. Nie czarujmy się. Trudno wprowadzić się do nowego mieszkania, w którym lepić wylazi ze szpar parkietu i trzeba przekładać podłogi, w którym istotnych napraw wymaga instalacja itp.

Myślę więc, że warto przemyśleć przyczyny, które spowodowały, że na pozór oczywisty i „niewinny” punkt statutu budzi w spółdzielcach wątpliwości. Postanowienia tego punktu odnoszą się — powtarzam to raz jeszcze — do sytuacji idealnej. Ponieważ nie istnieje taka sytuacja w naszym budownictwie, trzeba chyba jakoś przepis wprowadzić na ziemię.

Są dwa wyjścia. Albo za pomocą czarodziejskiej pałeczki naprawić te wszystkie nieprawidłowości na styku Wykonawca — Spółdzielnia. Albo wprowadzić do statutu poprawkę uwzględniającą „obiektywne trudności” lokatora, który nie może zamieszkać w lokalu z datą „postawienia do dyspozycji”. Warto chyba zrozumieć, że „obiektywne trudności” może mieć także zwykły szary obywatel. Jak dotąd owym zakłębionym tłumaczą się wyłącznie przedsiębiorstwa i instytucje.

Przepraszam. Są trzy wyjścia. Można jeszcze zlekceważyć wątpliwości i uwagi spółdzielców. Ale jest to wyjście czysto hipotetyczne, nie wierzę, aby można go użyć w samorządowej organizacji.

W tym samym paragrafie 22 jest punkt 6, który również jest dość powszechnie atakowany. Brzmi on: „członek nie może potrącać swoich należności od Spółdzielni z czynszów i opłat za używanie lokalu”.

Bardzo słusznie. Spółdzielnia jest przedsiębiorstwem, które ma swój plan, swoje rygory ekonomiczne, swoją gospodarkę finansową i rzeczywiście ładnie by to było, gdyby lokatorzy w sposób niekontrolowany, płacili czynsz w takiej wysokości, jak to uznają za stosowne. W żadnej planowej gospodarce taka improwizacja jest nie do pomyślenia.

To wszystko prawda i każdy ją rozumie. Skąd więc sprzeciw? Ano właśnie. Oto znów jest to dość normalna reakcja na praktyki administracji Spółdzielni.

Myślę więc, że i w tym wypadku warto przemyśleć motywy i podłoże tego sprzeciwu. Wydaje mi się, że ów sprzeciw nie jest zamachem na prawidłowość i dyscyplinę ekonomiczną Spółdzielni. Wynika ona bowiem z poczucia bezradności szarego obywatela wobec Instytucji. Spółdzielca-lokatora widzi, że nie dysponuje żadną praktyczną i doraźną sankcją wobec Instytucji, nie wywiązującej się ze swych obowiązków. Lokator widzi, że ma płacić za centralne ogrzewanie, za ciepłą wodę, ewentualnie za windę w sytuacji, gdy często w mieszkaniu jest zimno, wody ciepłej nie ma tygodniami, a winda zepsuta.

Sprzeciw wobec punktu 6 paragrafu 22 wynika właśnie z braku rekompensaty za nieprawidłowości. Jest to reakcja bardzo ludzka i bardzo zrozumiała. Powie ktoś — są bonifikaty. Oczywiście są. Ale po pierwsze różnie z tym bywa, po drugie co komu z bonifikaty, kiedy marzną w mieszkaniu, po trzecie wysokość bonifikaty za brak ciepłej wody na przykład, nawet w jednej czwartej nie pokrywa kosztów zwiększonego zużycia gazu...

Można się oczywiście irytować na krnąbrnych spółdzielców, którzy kwestionują tak oczywistą i słuszną zasadę, jak regularność i stałość opłat za używanie lokalu. Ale można przecież inaczej.

Spróbujmy wyobrazić sobie sytuację idealną, w której wszystkie ogniwa administracji i instalacje funkcjonują sprawnie. Czy wówczas komukolwiek przyszedłoby do głowy pomysł kwestionowania stałości ustalonych opłat? Oczywiście, że nie! To przecież nieprawidłowości, usterki, nieustające awarie rodzą owe sprzeciwy! I nie jest winą spółdzielców, że szukają możliwości doraźnych sankcji.

Myślę więc, że trzeba przede wszystkim wniknąć w przyczyny, likwidować źródła konfliktu, a wówczas przestanie istnieć sam konflikt. Ze to nielatte? Ba, a ktoż powiedział, że administrowanie paroma tysiącami bloków jest łatwe.

Osobiście uważam, że punkt 6 paragrafu 22 jest bezdyskusyjny. Ale nie jest bezdyskusyjna sytuacja, która spowodowała sprzeciw. Nad nią przejść do porządku dziennego nie można. Zrodziła ją bowiem naturalna, ludzka dążność do współpartnerstwa członka i administracji owa zasada równego partnerstwa członka i administracji jest wyraźna i fundamentalna. W myśl obowiązującego w Polsce prawa spółdzielczego szary obywatel Kowalski jest równorzędną, pełnoprawną Stroną wobec Spółdzielni.

Blisko trzydzieści lat Polską Ludową wykształciło w ludziach owo poczucie równości. Kiedy więc zdarzają się sytuacje, że obywatelowi Kowalskiemu zaczyna brakować tych realnych, doraźnych i skutecznych sankcji wobec potęgi Instytucji, dysponującej bogatym zestawem sankcji — obywatel Kowalski domaga się swoich praw. W konkretnym wypadku mogą kwestionować kierunek tego ataku, ale nie mogą podważyć słuszności intencji, które nim powodowały.

Sprzeciwy i wątpliwości, które zgłosili mieszkańcy „Lokatora” na walnym zgromadzeniu, wydają się może komuś sprawą wstydliwą, niegodną gazetowej wzmianki. Dla mnie jednakże są one bardzo optymistyczne. To reakcje współpartnerstwa, to żądanie, aby obie strony realizowały przyjęte na siebie zobowiązania bez awarii i przestoju, oto podstawy równorzędnych stosunków. Konflikty rodzą się zawsze wówczas, gdy jedna ze stron spychana jest w sytuację zależną od drugiej. Wtedy powstają sprzeciwy i zakwitają wątpliwości.

Nie jestem prawnikiem ani ekonomistą. Ta garść refleksji na marginesie sporu dość istotnego, choć dotyczącego marginaliów, nie jest pogłębioną wiedzą przedmiotu. Nie potrafię też wskazać natychmiastowych rozwiązań, bo przecież w pałeczce czaroksiężnika nikt nie wierzy. Jako publicysta i jako spółdzielca-lokator sygnalizuję po prostu wyłonek problemu, który się nazywa „spółdzielczość mieszkaniowa”. Być może oświetlony jest on jednostronnie, myślę więc, że warto otworzyć lamy „Odgłosów”, warto zaproponować działaczom spółdzielczości mieszkaniowej, lokatorom i prawnikom, aby zaprezentowali swój punkt widzenia i swoje refleksje na tematy wszystkim nam przecież tak bliskie.

Utarło się przekonanie, że prokurator i urząd prokuratorski w ogóle ma za zadanie ściganie przestępstw i doprowadzanie ich przed oblicze sprawiedliwości, udowadnianie im winy i żądanie odpowiednio surowej kary. I rzeczywiście takie jest zadanie prokuratorskie, ale nie jedynie, bowiem zmiany, jakie zachodzą w trakcie złożonego procesu budownictwa socjalistycznego, obejmują także dziedzinę prawa, a w nim i urząd prokuratorski. Zmiany te — zapowiedziane uchwałą VI Zjazdu PZPR — obserwujemy codziennie, uczestniczymy w nich aktywnie, bo odczuwamy wyraźną zgodność słów z praktyką życiową i nabieramy zaufania do praworządności. Zachwiała się jej moc przez ostatnie lata, podkopano ściśle przestrzeganie norm prawnych zarówno przez obywateli jak i przez organa państwowe. Procesy, które odbyły się niedawno przed sądami wojewódzkimi w naszym mieście, na przykład proces Genowefy Lazarkowej, która ustanowiła własny „kodeks postępowania” z agentkami kawiarni, obciążając je haraczem łapówek na swoje utrzymanie, odkryły mechanizm działania przeciwko praworządności, mechanizm podpierany mocą protekcji, kumoterstwa, klikowości.

Spółczesność przestawała wierzyć w moc praworządności, a zaczęło admiirować moc pieniądza. Z całą otwartością stwierdził to nowo mianowany Prokurator Generalny PRL — dr Lucjan Czubicki, kiedy omawiał zadania prokuratury oparte o jedność polityki ustrojowej naszego państwa

i prawa, które jest jednakowe dla wszystkich obywateli.

„Ważnym instrumentem działania państwa ludowego jest socjalistyczny porządek prawny. Należy więc uporządkować obowiązujący system prawa i usuwać te akta prawne i postanowienia, które nie odpowiadają zadaniom

ZOFIA TARNOWSKA

## NIECH PRAWO — ZAWSZE PRAWO ZNACZY

współczesnego państwa socjalistycznego. Prawo musi być jasne i zrozumiałe dla wszystkich, wewnętrznie spójne, pozbawione luk, ale też wolne od nadmiernej szczegółowości. W tych dziedzinach prawa, które regulują stosunki między urzędem a obywatelem, należy z całą konsekwencją realizować zasadę zaufania do obywatela. W państwie naszym obowiązuje zasada równości wszystkich obywateli wobec prawa, jednako-

wej odpowiedzialności za jego naruszenie bez względu na zajmowane stanowisko”.

Tak sformułowała kierunki rozwoju i działania prawa uchwała VI Zjazdu. Przygotowuje się raport o stanie prawa w Polsce. Będzie on podstawą do poczynienia dalszych zmian w systemie prawnym. Dalszych, bo już dziś stwier-

dzają się wiele zmian, a ich wykładnikiem jest właśnie rozszerzenie zadań prokuratury. Profesor Jan Szczepański pisał w 1957 roku („Próba diagnozy”) o konieczności stopniowego i systematycznego upraszczania systemu informacji i organizacji, leczenia ich z niedowładu, o potrzebie rewizji i oczyszczenia systemu prawa, rewizji systemu kontroli, zapewnienia jej skuteczności, oczyszczenia instytucji z a-

nonimowych klik: „niech na miejsce biur skarg i zażaleń, które mogą jedynie magazynować skargi, powstaną prawne możliwości szybkiego dochodzenia sprawiedliwości dla każdego człowieka”.

Trudno jest torować drogę praworządności przez zmuszającą dzunglę starych nawyków, fałszywej świadomości prawnej. Zderzenie nowego kierunku z usankcjonowanym niemal tu i ówdzie bezprawiem, odbywa się w sposób radykalny. Wyrazem tego są liczne procesy wysokich urzędników, zdejmowanie dyrektorów za niesprawiedliwy podział premii, odpowiedzialności karna za tolerowanie bałaganu i dopuszczanie do wyrządzania krzywd ludziom uczciwie pracującym i ufym w rzetelne uznanie ich pracy. Dotychczasowe fetyszowanie funkcji i stanowiska z punktu widzenia przywilejów, jakimi je obłożono, ustępuje miejsca aspektowi odpowiedzialności w szerokim tego słowa znaczeniu, a także odpowiedzialności prawnej. Egzekwowanie owej odpowiedzialności przypada także organom wymiaru sprawiedliwości, w tym prokuraturze. Dlatego zapowiada się zaostrzenie form ścigania i represji karnych wobec sprawców przestępstw przeciwko mieniu społecznemu, a prosto mówiąc — nadużyć, kradzieży indywidualnych i zorganizowanych, oszustw wszelkiego kalibru.

Wokandy sądowe pełne są rozpraw przeciwko zorganizowanym szajkom złodziei mienia państwowego. Jeden po drugim wpływają do Sądu Wojewódzkiego m. Łodzi akty oskarżenia przeciwko grupom „handlowców” w branży mie-

snej. Trwa dochodzenie w sprawie afery-giganta w jednym z miast powiatowych województwa łódzkiego. Ciekawy będzie to proces, odsoni mechanizm rozproszonych zarządzania i wykonywania władzy, do owych funkcji ustanowionych na cokolwiek samozwańczych przywilejów.

Prokurator Generalny akcentuje mocno znaczenie współdziałania społeczeństwa w zwalczaniu przestępczości, zwłaszcza gospodarczej. Formy jego mogą być różne: poczynając od społecznego potępienia, z jakim powinni spotykać się ludzie naruszający porządek prawny, do czynnego wystąpienia przeciwko zaobserwowanym faktom przestępstw. Przecież ludzie widzą i wiedzą, myślą i kojarzą. Tylko do tej pory nie łatwo było występować przeciwko zorganizowanemu klikom, które szły do ataku z imieniem praworządności na ustach i potrafiły wyeliminować uczciwego ze środowiska, pozbawić go pracy, albo postawić „frajera” w sytuacji szantażowej, pozyskując go dla grupy. Siła przestępcy leży w sile grup, które go ochraniają i popierają. Działa na większą skalę, gdy znajduje oparcie w skorumpowanych jednostkach w aparacie władzy. A szary obywatel, zagubiony w labiryncie skomplikowanego aparatu władzy, nie wie jeszcze często, któremu to organowi tej władzy (zwłaszcza na szczeblach terenowych) powierzyć tajemnicę odkrytego przez siebie zła. Potworzyły się syndykaty przestępczości i wpadał taki ucziwy na jednego z członków, dosta-

Dalszy ciąg na str. 4

nią tej roli nakazy i zakazy produkowane w nadmiernych ilościach. „Zły przepis może utrudniać, a w skrajnych przypadkach uniemożliwiać skuteczne działanie. Ale dobry przepis nie gwarantuje dobrego działania. Stwarza on ku temu jedynie odpowiednie warunki i możliwości”<sup>4)</sup>.

Samorząd umożliwia zwalczanie postawy bierniej, ograniczonej do realizacji poleceń lub do sformalizowanego przestrzegania przepisów. Przydaje zatem wartości postawom aktywnym, działaniu świadomemu i celowemu. Prawo do kontroli administracji daje także możliwość moralnej oceny jej pracy. „Dyrektor musi być zainteresowany w tym, aby te z jego decyzji, które mogą przynieść niepożądane skutki, zostały w porę zakwestionowane lub wręcz storpedowane. Nie ma w tym nic godzącego w autorytet dyrektorskiej władzy. Ponderować autorytet mogą natomiast takie sytuacje, kiedy określona decyzja zaczyna przynosić negatywne skutki, a jej nie przewidziano”<sup>5)</sup>.

Powstające na tym, i podobnym, tle konflikty nie mają nic wspólnego ze sprzecznościami klasowymi z minionej epoki. Nie należy ich dławić lecz wykorzystywać do rozwoju poprawnych stosunków. Niedostrzeżenie z pozoru nawet drobnych nierozwiązanych spraw doprowadza do kryzysu: unikania podjęcia decyzji, tłumienia inicjatywy, sformalizowania działalności organów samorządu.

Obawa dostrzeżenia konfliktu z jednej strony, lęk przed skutkami — z drugiej, doprowadzają niekiedy do tego, że samorząd robotniczy nie reaguje na niegospodarność czy brak poszanowania mienia społecznego, przestaje być wyrazicielem opinii publicznej, zatracając sens ocen moralnych, działalność swą formalizuje. Prawdziwe oceny sytuacji mogą znaleźć swój obieg w załóżce z pominięciem ogniw przedstawicielskich czy kierownictwa zakładu. Takim sytuacjom powinien zapobiegać samorząd robotniczy, jeśli działacze jego organów właściwie pojmują, że współzarządzanie — to nie tylko przywilej, lecz i odpowiedzialność.

Z informacji o pracy komisji partyjno-rządowej w sprawie zmian w funkcjonowaniu gospodarki<sup>6)</sup> wiadomo, że „podstawowym ogniwem rozwoju staną się wielkie organizacje gospodarcze... działające na zasadach pełnego rozrachunku gospodarczego. Będą nimi kombinaty grupujące szereg zakładów, niektóre wielkie zakłady oraz zjednoczenia”. Oznacza to dla samorządu robotniczego w tych organizacjach odczuwalny wzrost odpowiedzialności, a wyższe uprawnienia i samodzielność kierownictw. W tej nowej sytuacji nie do pomysłienia jest niekompetencja, bierność, niechęć do decydowania, czy oczekiwanie na decyzje „z góry”. Oczywiście są wysokie wymagania, które należy stawiać wobec kierownictw, ale i w rów-

## Zgodność zamierzeń i aspiracji

nym stopniu rośnie odpowiedzialność samorządu za prawidłowe kojarzenie interesów ogólnospołecznych i własnej załogi, wiązanie ze sprawiedliwym podziałem wyprodukowanych dóbr. Uzyskanie poprawy warunków pracy, mieszkaniowych, zdrowotności, odpoczynku wymaga sięgnięcia do rezerw ekonomicznych i społecznych. Jedne i drugie są w zasięgu zainteresowań samorządu, którego zadaniem musi być ukształtowanie atmosfery moralnej, sprzyjającej realizacji założonych celów.

Współzarządzanie samorządu ma także na celu skłanianie do osiągania dobrych wyników w pracy. Jest to rola o dużej wymowie społecznej, gdyż przyczynia się do niwelowania różnic występujących między „rządzącymi” a „rządzonymi”. Samorząd przeciwdziała więc nadmiernej koncentracji decyzji w rękę grup wyspecjalizowanych, których znaczenie także wzrasta w miarę zwiększanych uprawnień do decyzji, dotychczas podejmowanych na szczeblu centralnym.

Zajmowanie się sprawami węzłowymi przez prezydium, radę robotniczą, czy konferencję samorządu robotniczego — to tylko część obowiązków samorządu. Dla dobrej atmosfery pracy niemniej ważne jest funkcjonowanie oddziałowych rad robotniczych i porad wytwórczych.

„Nie ma wprawdzie formalnych przesłanek do tego, by uznać narady wytwórcze za ognio samorządu, niemniej jednak wszędzie tam, gdzie do sprawy robotniczej demokracji podchodzi się nie od strony formalnej, także traktowanie porad wytwórczych uzyskuje pełne pra-

wo obywatelstwa”<sup>7)</sup> Podstawowa rola narady wytwórczej — to umożliwienie wszystkim bez wyjątku zatrudnionym wypowiedzenie się o pracy wobec kierownictwa zakładu; jest to jedna z bezpośrednich form udziału robotników i całej załogi w zarządzaniu zakładem<sup>8)</sup>. Potrzeby wypowiedzi dowodzą liczne korespondencje, jakie otrzymała w ciągu roku redakcja „Samorządu Robotniczego” w odpowiedzi na ogłoszony apel — ankietę pn. „Moim zdaniem...” Żywy udział robotników, bezpośrednio produkcyjnych zasługuje na szczególne podkreślenie, zaś ich wypowiedzi mogą stanowić interesujący surowiec do studiów i dociekań.

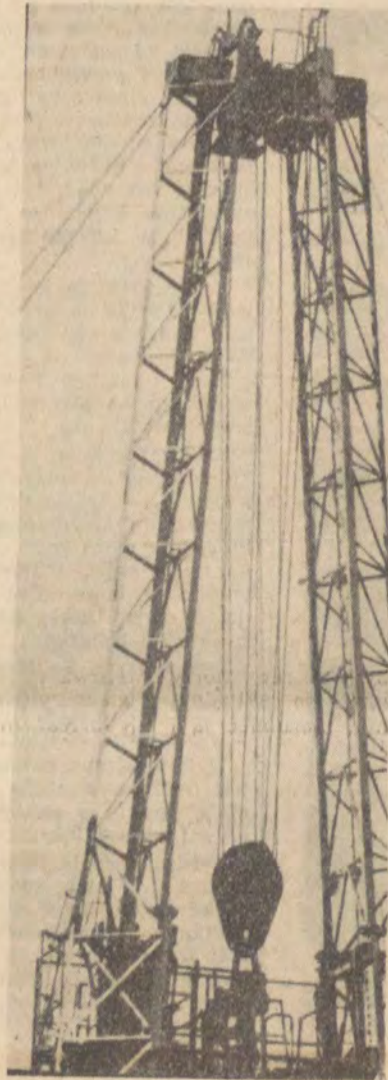
„Ankieta — pisze dr Mieczysław Trzeciak<sup>9)</sup> — miała charakter jedynie sondy, a nie badań nad problematyką i mechanizmem funkcjonowania samorządu robotniczego. Dowiodła ona potrzeby zainteresowania tą, niewątpliwie ważną, problematyką świata nauki a przynajmniej wyspecjalizowanego zespołu, zwłaszcza w środowisku warszawskim dla badania

i Krzewienia idei samorządności robotniczej, związanej nierozdzielnie z budownictwem socjalistycznym”. Jednocześnie i wypowiedzi kierowane do redakcji, i niektóre badania socjologiczne (np. w 1971 r. z inicjatywy Zarządu Łódzkiego ZMS) potwierdzają, że aktywność robotników, w tym młodzieży, w samorządzie koncentruje się głównie wokół problemów socjalnobytowych, mniej aktywny jest udział w rozstrzyganiu spraw organizacyjno-produkcyjnych.

W głosach dyskusyjnych, sporadycznie zamieszczanych w prasie, spotyka się często poglądy o potrzebie precyzyjnego określenia zadań, uprawnień, obowiązków samorządu, konieczności rozgraniczenia kompetencji jego ogniw (organizacja partyjna, związkowa, młodzieżowa, stowarzyszenia i in.) oraz organów samorządu (RP, ORR, KSR). Tej trosce o „paragrafowanie” działalności społeczno-politycznej (!) samorządu nie zawsze towarzyszy właściwe rozeznanie celów nadrzędnych, jakie spełniają ognia samorządu. Przykładem jest ogłoszony w kontekście szerszej, interesującej wypowiedzi, przez „Głos Robotniczy” z dn. 10.II.72 r., (Nr 34) pogląd kwestionujący zalecenie Zw. Zaw. Prac. Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych, „by nie wysuwać kandydatów do RR spośród osób, sprawujących kierownicze funkcje”.

Decyzje polityczne przyjęte przez VI Zjazd Partii pozwalają sądzić, że „nadal istotne będą: polityczne zaangażowanie, polityczne postawy kadry kierowniczej oraz demokratyczne zasady udziału robotników — jako aktywnych współgospodarzy — w podejmowaniu zasadniczych decyzji. (...) Spodziewać się należy takiego doskonalenia systemu zarządzania i planowania, który umożliwi narastający udział robotników w zarządzaniu, wzmocni demokratyczne organy robotniczego samorządu w przedsiębiorstwach i prowadzić będzie do stopniowego zanikania wśród załóg poczucia podziału na zarządzanych i zarządzających”<sup>10)</sup>.

PIOTR OSIEJUK



1) Trybuna Ludu, nr. 104, „Od koncepcji do praktyki”; 2) Por. Wł. Ratyński, „Jednoosobowe kierownictwo a demokracja robotnicza”, Głos Pracy nr. 92; 3) Głos Pracy nr. 26, mgr Wł. Laskowski, „Dyrektor z samorządem”; 4) Andrzej Ehrlich, „Sposoby działania w gestii dyrektorów i samorządów, Przegląd Związkowy nr. 4; 5) J. Karcewski, „Dwie formuły samorządu”, Głos Pracy nr. 39; 6) „Od koncepcji do praktyki”, Trybuna Ludu nr. 104; 7) J. Karcewski, „Po prostu narada robotcza”, Głos Pracy nr. 69; 8) Por. St. Lypaciewicz, „Narady wytwórcze”, Samorząd Robotniczy nr. 4; 9) Samorząd Robotniczy nr. 2; 10) Dr K. Doktor „Wiedza i postawa kierownika”, Trybuna Ludu nr. 34.

## NIECH PRAWO — ZAWSZE PRAWO ZNACZY

Dalszy ciąg ze str. 3

wał po skórze za dobre chęci zwalczania zła i przysiadła cichutko. Stąd właśnie powstało słynne porzekadło o bezszmerowym siedzeniu i potakiwaniu i wiele innych określeń dla przekonania o bezsilności, aż do przekonania, że sprawiedliwość można kupić za pieniądze (nie mówiąc o miejscu na uczelni).

Prokurator bierze dziś w obronę zwykłego człowieka, który nie tylko z powodu pełnej nieświadomości prawnej może znaleźć się w pozycji skrzywdzonego. Jemu m. in. służyć ma prokuratorska kontrola przestrzegania prawa — jeden z elementów doskonalenia systemu prawnego. Kontrolami prokuratorskimi objęto m. in. dziedziczą prawa lokalowego, sposób załatwiania skarg obywateli,

stosowanie ustawy o urlopach, stosunki pracy.

\* \* \*

Jednakże i jednoznaczne ma być interpretowanie prawa, które jest jednakowe dla wszystkich. Jego siła opierać się musi na obiektywizmie, na niepodważalnej zasadzie: „prawo niech zawsze prawo znaczy”, bo wynika to z ustrojowej polityki państwa. Lamowanie prawa wywołuje anarchię. Każde przestępstwo powoduje załamanie społecznego porządku i ładu, tak bardzo potrzebnego nam dla prawidłowego wykonywania zadań określonych uchwałą VI Zjazdu partii, dla umacniania naszej ambicji narodowej, dla osiągnięcia rzeczywistej poprawy bytu każdego obywatela. Nie można więc tolerować żadnych form

kontrowania zamierzonych celów, nie można tolerować rozluźnienia dyscypliny społecznej i wszelkich zjawisk, stanowiących tło jej rozprężenia, a więc niegospodarności, marnotrawstwa, braku kontroli, bagatelizowania ochrony mienia społecznego itp. Umocnienie dyscypliny społecznej stanowi część programu działania Sądu Najwyższego w nowej kadencji. Umacnianie socjalistycznej praworządności i przeciwdziałanie wszelkim zjawiskom niepożądanym lub szkodliwym w naszym życiu jest ideą przewodnią tego programu.

Tak Prokurator Generalny jak i I Prezes Sądu Najwyższego — prof. dr J. Bafia — określając rolę organów wymiaru ścigania i wymiaru sprawiedliwości — stwierdzają zgodnie, że od generalnej zasady wykonywania prawa nie może być odchylenia, które budziłyby wątpliwości opinii publicznej. Chodzi o jedność oceny szkodliwości przestępstwa i społeczną skuteczność represji karnej.

Społeczeństwo domagało się radykalniejszych środków w zwalczaniu chuligaństwa, przestępczości gospodarczej i kryminalnej. Wymiar sprawiedliwości spełnia te postulaty, zapowiadając wzmoczoną surowość karną wobec osobników wysoce zdemoralizowanych, wobec sprawców winnych zbrodni przeciwko życiu i zdrowiu ludz-

kiemu, winnych napaści na funkcjonariuszy organów porządku i bezpieczeństwa, złodziei mienia społecznego. Wyroki, które ostatnio zapadają, sięgają górnych granic zagrożeń kodeksowych, a Prezes Sądu Najwyższego zapowiada pełne wykorzystywanie przez orzecznictwo sądowe możliwości nowej kodyfikacji karnej w zakresie surowego karania sprawców najgroźniejszych przestępstw.

Uwaga Sądu Najwyższego koncentrować się będzie także na analogizowaniu całej praktyki sądowej i dokonywaniu uogólnień, a następnie ich wykorzystywaniu wtórnym. Uogólnienia te przydatne będą do podejmowania z urzędu środków, mających na celu odpowiednie kształtowanie orzecznictwa do aktualnych potrzeb, korygowania poszczególnych orzeczeń (jeżeli ich treść nie uwzględnia chronionych prawem interesów państwowych lub społecznych). Będą one również stanowić podstawę do problemowych wystąpień adresowanych do władz, a sygnalizujących niedostatki organizacji i zarządzania lub potrzebę zmiany przepisów aktualnie obowiązujących lub ich regulację. To programowe zadanie ma szczególne znaczenie w związku z porządkowaniem prawa i doskonaleniem procesu jego tworzenia. Aktywniejszy będzie w tym udział Sądu Najwyższego przez opiniowanie projektów aktów prawnych

z punktu widzenia nie tylko ich prawnej poprawności, lecz także doświadczeń z praktyki.

Praktyka życiowa dostarcza materiałów do zastanawiania się nad przyczynami rodzenia się negatywnych zjawisk społecznych. Tak prokuratura jak i wymiar sprawiedliwości gromadzić będą dane źródłowe do naukowych opracowań tematów (takich jak np. przestępczość nieletnich). Nawiązuje się współpracę z naukowcami wielu specjalności: socjologami, psychiatrami, ekonomistami itd. Te nowe związki mają na celu poznanie wszelkich mechanizmów powstawania przestępczości, a następnie opracowania metod zapobiegawczych. Możemy bowiem oczekiwać od organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości intensywnego wykrywania przestępstw i surowego karania winnych, ale jeżeli nie dotrze się do samego „dna” i nie zacznie się likwidować przyczyn, to usuwanie skutków będzie w małym stopniu przydatne. Każde leczenie objawowe łagodzi bowiem dolegliwości, ale ich nie usuwa.

ZOFIA TARNOWSKA

# Hrabia po raz trzeci

Dalszy ciąg ze str. 1

nowi, nie zawsze traktujący uczciwie swą pracę. Ma rację p. Makowiecki pisząc o „pijących ostro” kelnerach, ale nie wolno generalizować. Chcemy, by nazwiska „pijących ostro” kelnerów znalazły się w prasie, by ich publicznie potępić, ale nie wolno nie sprawdzając faktów, nas wszystkich traktować, jak przestępców. Nasze miejsce pracy, restaurację „Przekąska”, p. Makowiecki nazwał spekulacją. Przytaczamy parę faktów o naszej restauracji: w roku 1969 kosztem 1200 tys. zł (modernizacja), restauracja przybrała nową szatę, widnia (? — A. M.), z szatnią, hollem, salą na 88 miejsc konsumpcyjnych, bez sprzedaży przy bufecie (? — A. M.), a wyłącznie z obsługą kelnerską. Przed modernizacją był bar „Przekąska” kat. III, po modernizacji jest restauracja „Przekąska”, kat. II. W roku 1971 lokal nasz uzyskał 6 miejsce na 80 lokali w konkursie „Srebrnej Palety”, przoduje w dzielnicy Łódź-Widzew pod względem sanitarnym (I kategoria sanitarna) i od dawna nie było tutaj ani jednej interwencji MO. Jest to zresztą zasługą nie tylko kierownictwa zakładu, ale również nas wszystkich, całej załogi „Przekąski”. Dbamy o to, by podnieść rangę naszego zawodu, w którym większość z nas pracuje po kilkanaście lat. Nie wstydzimy się swego zawodu, kochamy go i dlatego nie zgadzamy się, aby obrażano nas, nasz zawód i miejsce naszej pracy. Żądamy również uczciwej dziennikarskiej pracy od p. Makowieckiego, solidności w podawaniu faktów i zrzeczenia się lekceważącego i obraźliwego stosunku do ludzi pracy, stojących niżej w hierarchii społecznej od p. Makowieckiego. Krytykujcie nas, ale uczciwie i konkretnie, to nam pomożecie w nielatwiej naszej pracy, ale nie poniżajcie i nie obrażajcie. Mamy nadzieję, że nasz list ukaże się w najbliższym numerze „Odgłosów”.

Przyznam się, że pismo to wprowdziło mnie w osłupienie. No, bo przecież wszystko, co o „Przekąsce” powiedziałem, mieściło się w zdaniu, że skoro Hrabiego nie widać w śródmieściu, „urzęduje, być może, w jakichś ustronnych spekulacjach, w takiej na przykład „Kolejowej”, „Przekąsce” lub „Zgodzie”, co zasugerował mi jeden z informatorów. Natomiast w raporcie, ani razu nie wjechałem na teren „Przekąski” ze swoją dziennikarską kamerą, czego sobie zresztą nie mogę wybaczyć.

Postanowiłem naprawić ten błąd i 12 czerwca o godzinie 17.00 wtargnąłem tam z dwoma kolegami.

Od zewnątrz „Przekąska” istotnie wygląda porządnie, tyle, że bez przerwy wychodzą z niej podcięte typy.

Wewnątrz też jest nieźle — w miarę czysta toaleta z obtłuczonym, zapałkanym lustrem, schludna szatnia, połyskliwy bufet, z lekka jeno przybrudzone obrusy na masywnych stołach; wysprzątane

podłogi, jasne okna. Ale tłok. Mimo wczesnej pory i niebywałego upału, pełno zapijaczonych twarzy.

Staram się patrzeć na to wszystko bez najmniejszych uprzedzeń. Zresztą — mam weryfikatorów, tych dwóch z mojej osobistej obsady.

Raz po raz wybuchają sprzeczki między obsługą i klientami.

— To jest pijalnia piwa — mówię patrząc na piętrzące się wszędzie butelki „pełnego”, które jedni faceci ciągną ze szklanek, a inni z dzioba.

— I bardzo dobrze — twierdzi towarzyszący mi ekonomista. — Chcesz, żeby pili po bramach? Zobacz, co się dzieje w spółdzielniach i pod spółdzielniami, które mają normalny wyszynk.

— No, pięknie, ale ci od piwa zajmują miejsce tym, co przyszli tu jeść i przestępują teraz z nogi na nogę pod drzwiami.

— Ej, może też przyszli na piwo?..

Łapiemy wolny stolik. Czekamy kilkanaście minut na kelnerkę, która związa się jak w ukropie, wyraźnie zła, zasapana, opryskliwa.

W chwili, kiedy przyjmuje od nas skromne zamówienie, podbiega jakiś człowiek, krzycząc, że był pierwszy i czeka już pół godziny, że jest głodny i zaraz musi iść do pracy.

Kelnerka odcina się zdecydowanie, że przecież nie stoi w miejscu i niebawem do niego podejdzie. A tu już atakują ją inni, pokrzykując, łapiąc dziewczynę za rękawy. Do naszego stołu przysiadają się dwóch mężczyzn, sądząc z wyglądu: ojciec i syn. Zamawiają fasolkę po bretońsku. Podobnie jak my, czekają bardzo cierpliwie. Wreszcie jest ta ich fasolka, lecz nie ma pieczywa.

— Proszę o chleb — mówi nieśmiało starszy człowiek.

— Trzeba było od razu powiedzieć — stroszy się kelnerka.

— Mówiłem.

— Nie pan nie mówił.

Przy sąsiednim stoliku tkwi nieruchomo na krześle jakaś staruszka, próbując bezskutecznie ściągnąć kelnerkę błagalnym wzrokiem. Za plecami słyszę brzęk tłuczonego szkła, Błuznierstwa. Kelnerka ociera pot z twarzy, rozkłada bezzadnie ręce, dwoi się i troi, wciąż nie dostrzegając staruszki i zapominając o pieczywie dla tych dwóch.

— Dziwisz się jej? — pyta drugi z moich kolegów, działacz społeczny.

— Nie.

— Ona naprawdę ciężko pracuje.

— Zgadza się.

— I ci pijacy są nachalni.

— No i przynoszą większy dochód...

— Komu?

— Ajentowi.

— Masz coś przeciwko knajpom ajencyjnym?

— Absolutnie nie. Uważam, że są potrzebne i mają szansę uratować naszą gastronomię. Ale nie tymi sposobami.

— Jakimi?

— Policz sobie — mówię. — Ta nasza kelnerka obsługuje czterdzieści stolików, a jej koleżanka — resztę lokalu. Dwie kelnerki na tę porę dnia i na takie nasilenie, to trochę za mało.

— Masz rację. Robić dochód kosztem nadmiernego ludzkiego wysiłku, to niesprawiedliwe.

— One pewnie myślą inaczej.

— Myślisz, że złożyły swoje podpisy pod wymierzonym przeciwko tobie pismem.

— Tak myślę.

— Zapytaj ich.

— Nie ma sensu.

— Cała sprawa rozbija się o to — wtrącił ekonomista — że w łódzkich lokalach jest większy popyt niż podaź. Nieustanny brak stolików. Gdyby było odwrotnie, ajenci musieliby ze sobą konkurować, bić się o klientów, łowić ich na czyste obrusy, lepsze jedzenie i uprzejmiejszą obsługę. Może kiedyś doczekamy się tego?..

— Ty możesz spokojnie czekać — powiedziałem. — Ale co mają robić ci samotni, zdani na permanentny flirt z gastronomią?

— Niech idą do barów mlecznych.

dziewczyna kochała tego dnia swój zawód) oraz twarze tych dwóch: ojca i syna, którzy nie dostali jeszcze chleba do stygnącej na talerzach fasolki. Zjedzenie kolacji w „Przekąsce” — kawałek złotego sera (dzień beźmięsny), chleb z masłem i herbata — zajęło mi pięćdziesiąt minut.

Toteż następnego dnia poszedłem na kolację do baru mlecznego na przeciw redakcji.

Chcę tu wygłosić krótki pean na cześć tych „białych” skromnych jadłodajni. Podobno w czasie, kiedy sprzedawano tu jeszcze piwo, częstym ich gościem był mój legendarny Hrabia. Ale teraz nie pędzi się w barach chmielu, a więc upadła we mnie kolejna, chyba już ostatnia nadzieja na odnalezienie tej osoby.

Tak czy owak — bary, instytucje specyficzne, będące niewątpliwym ewenementem naszej gastronomii, mają dla kraju wielkie znaczenie.

W barach jest tanio.

przynajmniej człowiekowi zatruciem.

W barach, niektórych, bywa brudnawo, i, także w niektórych, dosyć smutno. Ale panuje za to błogi spokój. Nie ma klótni. Nie ma oszustw. Nie ma klientów załatwianych poza kolejnością. Rządek posuwa się z wolna do kasy, która wybija miarowo drukowane rachunki.

W barach (rzecz jasna — nie wszystkich) powiększył się ostatnio repertuar dań. A więc nie tylko te jarskie, mleczno-jajeczne. Na Andrzeja Struga można trafić kielbasę zapiekaną. Przy Wólczańskiej bywa bigos i pierożki z mięsem. Tu i tam trafiają się zrazy zawijane, kurczaki, wątróbka, hamburgery.

W barach są słodczyce — lody, pączki, gałereki, kremy.

Ej, źle ze mną. Przez te moje kochane bary staję się sentymentalny i wpadam zniecałkowany w dziennikarską grafomanę.

Dość.

Nie! Jeszcze parę zdań, które rozpocznę naiwnym, skierowanym do siebie pytaniem:

— Co bym zrobił, gdybym był szefem całego łódzkiego żywienia? Otóż postawiłbym właśnie na bary. Rozbudowałbym w miarę możliwości ich sieć. Postarałbym się, aby wszystkie były tak czyste i estetyczne, jak ten przy Jaracza niedaleko Wschodniej.

Jakkolwiek nie jestem specem w tej dziedzinie, ośmielałem się twierdzić, że nadanie barom większego szlif (przede wszystkim: kliniczna czystość) i zwiększonych obrotów (sprawniejsza, szybka obsługa przy kasie i przy okienku), rozładowałyby w poważnym stopniu tłok, i to zarówno w restauracjach jak i kawiarniach, a co za tym idzie — w takiej na przykład „Przekąsce” zmniejszyłyby się popyt i zwiększyła podaź.

Twierdząc: Łódzkim knajpom przydałaby się ostra, konkurencyjna walka, tak, aby krzesel było więcej niż klientów i aby każdy z nich był w lokalu gościem, a nie intruzem.

Ktoś powie — nie masz racji. Przeszła zajmować się reformami. Weź się za rzetelną, uczciwą reporterkę. Syp faktami, a wnioski pozostaw specjalistom.

W porządku.

Późnym wieczorem przebrałem się w najgorsze ciuchy i jeszcze raz zajrzałem przez jasne, wymyte okna do „Przekąski”, bojąc się, że mnie zaraz rozpoznają.

Mniej ludzi, więcej pijaków. Wychodzili po dwóch, po trzech, trzymając się za szyje, całując i ścisnąc. Niektórzy przysiadali na chodnikach, niektórzy wracali do środka walcząc twardo z pijanym zmęczeniem.

Bijatyki akurat nie było. Tylko jakieś drobne klótnie, zaczepki.

Normalny, codzienny wieczór pod restauracją, w której szelest słów najtkliwszych miesza się z najgorszymi przekleństwami.



— Jest to pomysł — powiedziałem. I wyszliśmy obrzucając ostatnim spojrzem staruszkę, która wciąż łowiła błagalnym wzrokiem nieuchwytną, umęczoną, opryskliwą kelnerkę (wątpię, aby ta

W barach brak kelnerów, co zwalnia nas od płacenia napiwków i zamawiania wódki.

W barach można dostać, najczęściej, świeże pieczywo, no i w ogóle tamtejsze potrawy nie grożą

B. M.

**SUKCES STANISŁAWA HADYNY**

Twórcą i kierownikiem artystycznym zespołu „Śląsk” od lat pracuje również twórczo jako li-

terał. Jedną z pierwszych jego prac literackich był scenariusz (nagrodzony) do filmu o Fryderyku Chopinie. Dużą poczytnością cieszą się też reportaże Stanisława Hadyny. Podstawowe sukcesy literackie odnosi on jednak przede wszystkim jako dramaturg. W Roku Gandhiego, zorganizowanym z inicjatywy UNESCO, jego sztuka o hinduskim filozofie i polityku zdobyła drugą nagrodę wśród 183 prac z 11 krajów.

Obecnie Stanisław Hadyna otrzymał drugą nagrodę w konkursie, zorganizowanym w Stanach Zjednoczonych, a poświęconym M. L. Kingowi. W jury zasiadała m. in. żona po zamordowanym działaczu muzyka i laureacie Pokojowej Nagrody Nobla.

**POLONICA**

POLSKA UROCZYSTOŚĆ  
W WALIJSKIM SZPITALU

Niedawno walijskie gazety „Wrexham Leader” i „Caernarvon Denbigh Herald” doniosły o niecodziennej uroczystości, jaka miała miejsce w polskim szpitalu w Penley, w pobliżu Wrexham. Pacjentka tego szpitala Henryka Lewandowicz obchodziła setną rocznicę uro-

dzin. W jej szpitalnym pokoju zebrało się 30 gości, wśród których był syn i wnuk. W czasie uroczystości śpiewano polskie pieśni, a dostojna jubilatka otrzymała gratulacyjny telegram od królowej Elżbiety oraz życzenia od przedstawicieli władz państwowych Wali.

Henryka Lewandowicz urodziła się we Francji, ale większość życia spędziła w Polsce. Po wyjściu za mąż za Antoniego Lewandowicza, zamieszkała w Łodzi, gdzie w okresie międzywojennym była nauczycielką języka francuskiego w

łódzkich gimnazjach. W czasie wojny współpracowała w Krakowie z ruchem oporu, pomagając w przerzucie polskich lotników do Francji. Arresztowana przez gestapo, została osadzona w więzieniu św. Michała, gdzie przeżywała 13 miesięcy, aż do wyzwolenia Krakowa.

Po wojnie za udział w ruchu oporu otrzymała polskie odznaczenie „Krzyż Walecznych” i francuską „Legię Honorową”. Przez pierwsze powojenne lata mieszkała w Polsce, a w 1948 roku wyjechała do Anglii, aby opiekować się chorym sy-

**POLONICA**

BLAŻO SZĆEPANOWIĆ

## Pocalunek światła

Pod jakimś innym niebem  
znów zakwitną nasze ręce  
gdy nowe się gwiazdy zrodzą.  
Zamiast warg twoich  
będzie pocalunek światła  
i te ściany zamienią się w oczy.  
Czy to życie  
czy się światło kołysze  
z brzegu na brzeg  
swoim sennym wachlarzem.

Wiele czerwony wiatr z  
z dzikiego serca  
— i to się zwie miłością:  
a miłość gdzieś  
jak najpiękniejsza głowa  
szuka swego przestraszonego ptaka  
gdź przez jeden błąd w spojrzaniu  
stała się noc.

Jednak te ręce  
znów się zapachem otoczą  
na jakiejś dalekiej planecie  
choć jeszcze nie widzę  
co uściskiem objęły.

## Gdzie jest ta źrenica świata!

Gdy zaśnie jawa  
a sen się obudzi  
z czerwonej wody leczniczej  
echem pieśń się odbije,  
każdy człowiek  
będzie bogiem  
na połowie jednej gałęzi błękitu  
daleko  
ponad puszcza swoich słów

Zbudź się, zbudź!  
we mnie tajna mocy!  
Wiem, jestem jej miłością  
silniejszy od oceanu  
zbudź się, zbudź!

Planeta zdobywa duszę  
podziemną moc mojej głowy.  
Czarem jej smutku  
wszechświat się rozliścia.  
Zbudź się, zbudź  
nierozłączna różo życia.

Przełożyła z serbsko-chorwackiego:  
BOŻENA NOWAK

ĆEDO JAKIMOVSKI (Macedonia)

## Balkon

W godzinie renesansu we śnie przed zaniem  
rozkwitł balkon podobny marmurowym kwiatom  
z przywidzenia nocnego z umarłej kochania  
której obraz niósł w sobie przedziwny murator

Cichy ból swój mistrz dłuta w relief potem przekuł  
Tematem śmierć odległa nieznannej niewiasty  
Odtąd ból nie wygasa dowiera wiek wieków  
gdź tęskną kantyleną w rzeźbie jego zastygł

Stanąłem przed balkonem Dziki ptak w poszyciu  
śpiewa — sfrunął przed chwilą w mrok jesieni mglistej  
Śpiewając w ciszy nocnej zda się wracać życiu  
postać tęsknej kobiety i postać artysty

Jak gdybym głos ich słyszał: Tak na świecie bywa  
tę którą szukasz tkliwie śmierć rychło pogrzebie  
zanim znajdziesz i zaczniesz cię ona przyzywać  
już jej nie ma przy tobie już nie ma i ciebie

## W deszcz

Słyszysz Deszcz stąpa niepochwytym krokiem  
Dwa wilgne kwiaty roni na mój sen  
Pieśń intonuje nad morzem chór kropel  
Mew białe stado zawisło u rzęs

Palma się budzi wyciąga ramiona  
ku słońcu Zgasło dosięgnawszy dna  
Powrót rybaków Ciągną sieci z toni  
w których ławica ciemnej piany drga

Po bystrych strugach nim się w mroku skryły  
chłopiec z dziewczyną rozrzucają śmiech  
Pod gwiazd tragicznie na oknie niebyłym  
nieznany malarz wymalował śmierć

Cisza W pokoju już kwiat schnąć zaczyna  
choć jeszcze w nim wibruje dzwonów dźwięk  
Zasypiam widzę jak naga dziewczyna  
nucąc pieśń deszczu wstępuje w twój sen

## Portal

Statki tak dawno na morzu Tęsknota  
trzy pory roku przeszły a nie dojrzał  
nikt by ktoś próg z nich przestąpił z powrotem

O stary fresku czasu i plag morza  
Nie wraca nikt i dzwon nie daje znaku  
ich we śnie obraz brzask ściera do czysta  
Radość odrzuwa wraz z odlotem ptaków  
Wyjawią: oni znaleźli tam przystań

Wolać rzeźbiarzy Z naszej męki dusznej  
niech portal kują wokół furty złotej  
ciemny jak czas jak krwią nasiąkłe muszle  
i twarze tych co wyszli bez powrotu

Piersi i oczy wyszły nam Złowrogie  
przecucia raf pod wodą co dzień śnionych  
Wykujcie portal z marmuru nad progiem  
Niech go caluje śmierć co przyjdzie po nas od nich

Przełożył: TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

JERZY WILMAŃSKI

## Wypis ze słownika

Ten chemiczny spokój  
carbo  
moylox  
methyl

meprobamat nad Wisłą  
miltown nad Tamizą  
Nad moim niepokojem  
gorycz białej chemii

Chemia znaczy, alkimja  
znaczy kamień albo  
przemiana — transmutatio

Kamień rodzi słowo,  
Słowo rodzi kamień  
Przemiana — transmutatio  
i wszystko inaczej

Nad moim niepokojem  
gorycz białej chemii  
Lżą opasle słowniki  
— wszystko jest tak samo



ROBERT GLÜTH

## Liryk na klawesyn

nie ma powrotów Hanko  
czas się do nas zbliża  
lekko dotyka dłoni  
twarze trochę zmieni  
zostawi nam urodę na kilka deszczowych jesieni  
może tylko źrenice nieznacznie przyciemni

nie ma powrotów Hanko  
ale przymknij oczy  
i całe moje ciało powtórzysz bezbłędnie  
a ja — pachnący tobą każdy jęk tak mroczny  
że z lękiem wstępowałem w twoje upojenie

lecz pamięć — tak niewiele:  
radość, zapach skóry  
nie uda się wszystkiego drugi raz powtórzyć  
— podobnie zmarłe gwiazdy iskrzą bryły lodu  
coraz słabiej  
aż zgasną  
bo nie ma powrotu

Heiner Doroch\*

## Muzyka Chopina

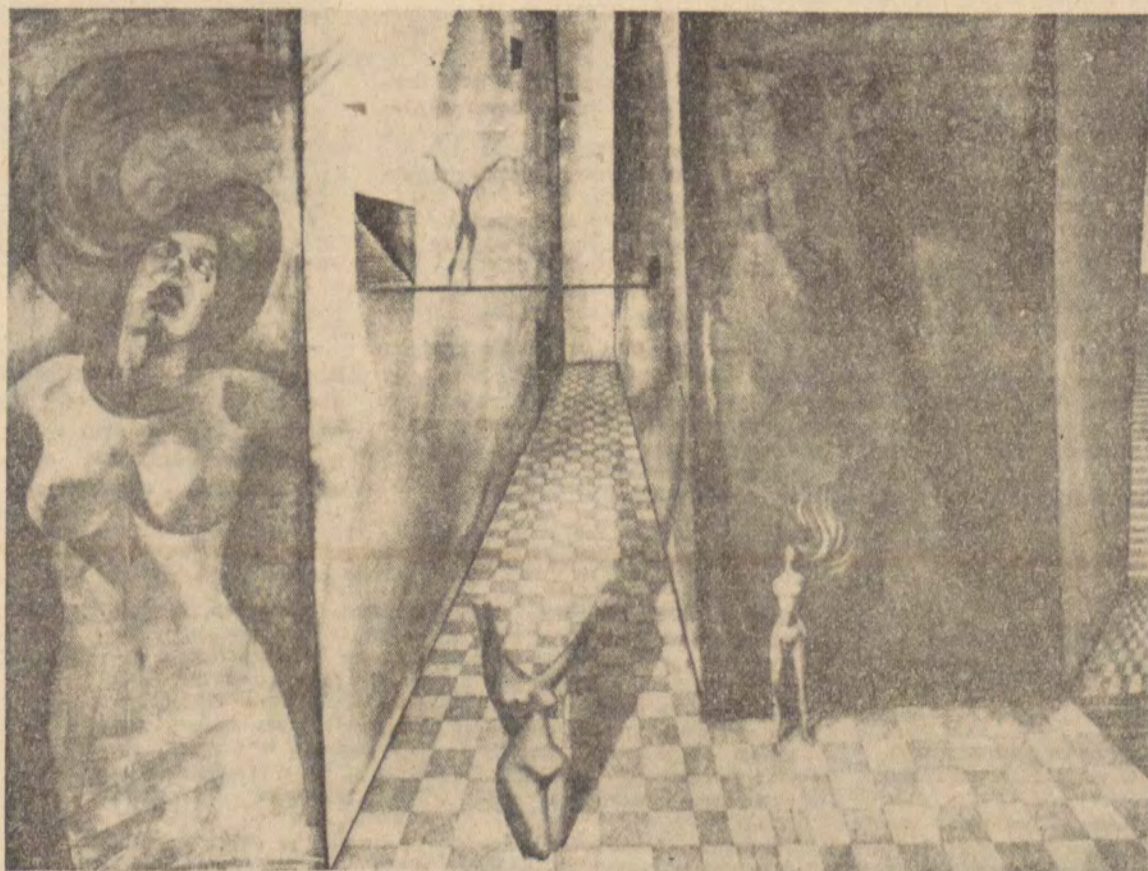
Helmut jest masywnie zbudowanym mężczyzną, o byczym karku, o osłepłych, z melancholii pociemniałych oczach idioty. Nie uważam go przecież za idiotę ani za niedorozwiniętego, nadaje się tylko do prymitywnej roboty. Jednakże stoi on dzień w dzień od dwudziestu już lat przy obrabiarce, pracuje sprawnie i gładko, robi to najstaranniej z nas wszystkich. W naszym zakładzie nikt nie chciałby oczywiście wykonywać tej pracy dłużej niż tydzień, bo jest to zajęcie wyczerpujące, otepiające, głupie.

Ale — Helmut — niedorozwinięty wykonuje zawsze cierpliwie tę „poniżającą” pracę, i czyni to za wynagrodzenie, za które mógłby w najlepszym razie wegetować poniżej ludzkiej godności, gdyby nie pomagali mu materialnie rodzice. Nie byłoby teraz właściwie mówić dalej o „poniżającej” pracy, gdyż praca, której nikt nie chce się podjąć, a która musi być wykonana, jest co najmniej tyle warta, co praca przeznaczona dla inteligentnych ludzi. Niestety nikt dotąd nie chce tego dostrzec, ani koledzy ani firma. Jakimi środkami można przeorać zatem błędnie i od dawna zaprogramowany mózg ludzki, aby cokolwiek zrozumiał?

Helmut — niedorozwinięty, którego wszyscy mają za idiotę, wykonuje zawsze dobrze swoją pracę, i nuci przy tym — pod warezający rytm obrabiarki — sonaty, nokturny i polonezy swojego ulubionego kompozytora Chopina. Zna wszystkich wielkich muzyków, ale przede wszystkim Chopina. W dawnych czasach zagazowano by coś takiego, dzisiaj pozwalają mu zarabiać. Chrześcijańska firma czyni zbrojne dzieło.

Przełożył: STANISŁAW KASZYŃSKI

\* Autor, z zawodu elektromechanik z Wattenscheid (NRF), członek „Grupy 61”, reprezentującej literaturę świata pracy.



Z. Kud — Akty

## Fryderyk Hebbel

Ukazała się kolejna monografia \*) Zdzisława Żygulskiego. (Zdzisława — nie Zygmunta czy Stanisława, jak podają centralne czasopisma; swoją drogą skąd bierze się taka pomyłka, skoro recenzenci piszą o książce, która leży przed nimi na stole?). Odnawiamy tę cenę publikacji nie tylko dla porządku, ale z prawdziwą satysfakcją, gdyż autor książki, nestor germanistyki polskiej, związany był ściśle z Łodzią. Tuż po wyzwoleniu zostaje kierownikiem Katedry Filologii Germańskiej UŁ. Jednocześnie pracuje jako profesor w Wyższej Szkole Filologicznej w Łodzi piastując godność prorektora tej uczelni, a po odejściu Leona Schillera do Warszawy, godność dyrektora.

Monografię o Hebbelu (1813—1863) czyta się z wątkowym zainteresowaniem, nie jak ciężką pracę naukową, ale jak odkrywczą powieść, w której ciekawa postać pisarza zostaje plastycznie przybliżona polskiemu czytelnikowi.

Hebbel jest u nas pisarzem mało znanym. Tylko dwie jego tragedie i fragmenty jego „Dziennika” przetłumaczono na język polski. Dotąd zajmował się nim gruntownie jedynie Karol Irzykowski, dla którego Hebbel był jednym z najgłębszych dramaturgów XIX wieku, a którego problemy dalej rozwijał Ibsen stając się patronem dramatu modernistycznego. W Polsce konstrukcję typowo hebbelowską (problematyka dotycząca przelomu historycznej epoki) zastosowali w swych dramatach Norwid i Wyspiański. Pierwszy w „Kleopatrze” (fragment), drugi w „Bolesławie Śmiałym” i w „Skalce”. Jakie będą dalsze losy dzieła hebbelowskiego, chociażby tylko na obszarze języka niemieckiego, trudno przewidzieć; jedno jest przy tym pewne, że od dziesiątków lat wraca się do uporczywie. Może dlatego, że „bez piętyzmu nie byłoby moralnej więzi między ludźmi i

samotność ich byłaby jeszcze straszniejsza?”. Żeby nie stało się tak, jak z Artakserksem, perskim niewolnikiem, człowiekiem — zegarem, który na dworze jakiegoś satrapy musiał liczyć bez przerwy swój puls i obwieszczać godzinę swemu panu nie ufającemu klepsydrom, aż stopniowo stał się żywą maszyną, człowiekiem wsłuchanym jedynie w tętno własnej krwi, a zresztą wyobcowanym ze świata.

Kto znajdzie czas, aby odwrócić się na chwilę od bogactwa współczesnych faktów, od nieustannego szumu i zalewu informacji, niechaj sięgnie po tę książkę, która mówi nie tylko o człowieku z ubiegłego wieku. Dzięki tej intelektualnej przygodzie jakoś nawet łatwiej uporać się z niektórymi elementami współczesności. Budzi poznawczy niepokój, a zarazem wydaje kompetentny, spokojny wyrok nacechowany obiektywnym, naukowym dystansem.

Fascynuje w tej monografii żywe nakreślenie burzliwego życia Hebbela. Ale autor monografii potrafił równie zajmująco pisać o filozofii Hebbela, o interpretacji poszczególnych utworów, o lirycie, prozie, o wszystkim, co ma znaczenie w biografii twórczej tego dramaturga. Całość stanowi przejrzyście wykład podany jednym, jasnym językiem o życiu Hebbela i jego sztuce pisania; jest optymalnym osiągnięciem, jest pracą godną podziwu zważywszy chociażby tylko ogrom materiału dowodowego, którym swobodnie operuje autor.

\*) Zdzisław Żygulski, **FRYDERYK HEBBEL** — obraz życia i twórczości, Wydawnictwo PAN 1971.  
Od redakcji: Prof. dr Zdzisław Żygulski przeniósł się z Wrocławia na stałe do Łodzi. Serdecznie witamy w naszym gronie i życzymy długiej jeszcze działalności naukowej.

## Przeszłość i terażniejszość

Chciałoby się wreszcie odejść od tych sporów, zwłaszcza, że na półce zbiera się już stosik wcale ciekawych książek, o których warto byłoby to i owo wspomnieć. Ale jak można to uczynić, skoro dyskusja o miejscu historii w naszym współczesnym życiu bynajmniej nie zmierza do końca, a nasza prasa społeczno-kulturalna poświęca jej wciąż wiele miejsca. Nie zdążyłem jeszcze wspomnieć o świetnym szkicu Jerzego Topolskiego „Fakty są martwe, historia je ożywia” ogłoszonym w „Polityce” z 20 maja tego roku, a tu bieżący numer „Kultury” przynosi arcydzieło wypowiedzi

p. Joanny Papuzińskiej, opatrzonej prowokującym tytułem „Półtora kilo historii”, która niechybnie wielu czytelników sprowokuje do dyskusji. Ale do rzeczy. Jeżeli pragnąłbym zatrzymać się nad szkicem Topolskiego, to dlatego, że stanowi on poważną odpowiedź naszego czołowego specjalisty z zakresu (nie tylko zresztą) metodologii historii udzieloną

na tym wszystkim, którzy są zwolennikami — jak powiada autor — „hamującego wszelki postęp, pozornie nowoczesnego poglądu, by iść naprzód nie spoglądając wstecz”. „Gdyby było tak, jak uważają niektórzy metodologowie o nastawieniu pozytywistycznym — podkreśla Topolski — a mianowicie, gdyby prawdą było, że nauka historyczna zajmująca się zdarzeniami martwymi, które odeszły bezpowrotnie w przeszłość, podczas gdy np. socjologia — żyjąca terażniejszością, nie byłoby potrzeby stałego pisanie historii na nowo. Tymczasem pogląd o faktach martwych po ich odejściu w przeszłość lub, inaczej mówiąc, o faktach martwych jako przedmiocie badań historycznych, jest głęboko nieludzki. Fakty są martwe jedynie w świecie bez myślenia historycznego, a więc w świecie ludów pierwotnych, czyli w świecie z niedostatkami historii, żyjącym się różnymi oderwanymi od rzeczywistości filozofiami...” Głę-

biej słuszności tego stwierdzenia nie zaprzecza uwaga czytelnika, że ów niedostatek historii u ludów pierwotnych wydaje się być złą, skoro wiadomo dziś tak wiele o roli, jaką odgrywała u nich tradycja; ów „świat bez historii” częściej będzie produktem cywilizacji zgoła nowożyt-

nej, w której również nie brakuje filozofii oderwanych od życia. Od Jerzego Topolskiego oczekujemy teraz książki, która o ile nam wiadomo, została już dość dawno ukończona, a która podejmuje tę właśnie ważką problematykę w szerszej perspektywie współczesności.

## Historia na łokcie i kilogramy

latach wyraźnie spada zainteresowanie książką historyczną, jeśli „w kilkunastopunktowej kafeterii (!) gatunków uzyskiwała ona kolejno lokaty w r. 1962 — drugą, w roku 1965 — piątą, w roku 1970 — trzecią od końca” należy sobie postawić za J. Papuzińską pytanie, „czy historia przesta-

ła fascynować młodych czytelników?” Sondaż, przeprowadzony przez autorkę artykułu, wyjaśnia ten problem jedynie częściowo. Przeprowadza ona bowiem dowód prawdziwości na materiale aktualnego piśmiennictwa historycznego adresowanego do młodzieżowego czytelnika i stwierdza, że w znacznej swej części jest ono po prostu złą, schematyczną, pozbawioną wartości artystycznych i poznawczych literaturą. Jeżeli wydawane szkodzą ręką książki nie przynoszą niczego nowego, jeżeli pozostają w zakątym kręgu spraw powiedzianych, zastanych i wielekroć już powielanych schematów, to jak można oczekiwać, aby były czytane? Do podanego przez autorkę listu tego rodzaju publikacji każdy z nas dodałby jeszcze sporo niewymienionych. Tak, to prawda, ale nie świadczy to jeszcze o kryzysie zainteresowania historią, lecz tylko o złym, pogarszającym się stanie młodzieżowej beletrystyki historycznej.

Zaobserwowany w badaniach nad czytelnictwem spadek popularności młodzieżowej literatury historycznej należałoby rozpatrywać także z punktu widze-

nia jej treści. Należy sobie postawić pytanie, jaka tematyka odręcza, jaka zaś przyciąga młodzieżowego (i dorosłego) czytelnika do książki historycznej, na co J. Papuzińska właściwie nie dała odpowiedzi. A może tylko nie odpowiedziała na nie pozornie, skoro dostrzegła, iż historia zbyt często jest „bezpieczną przystanią”, ucieczką od podejmowania ważkich problemów współczesnych. Otóż rzecz w tym, że taką bezpieczną przystanią jest jedynie... zła historia, taka, która nie kusi się o rozpatrzenie spraw istotnie ważnych, zresztą wymija wszystkie rafy i spokojnie żegluje po zmetnialej wodzie znużenia. Tak już jest, że historia jest czułym barometrem współczesności, każdorazowe „przymrozki” i skostnienia odbijają się na niej niemal natychmiast i pchają do bezpiecznych przystani kompromisu, marazmu, stagnacji. Podana przez p. Papuzińską chronologia spadku zainteresowania młodzieży lekturą historyczną jest wiele mówiąca, jeżeli spojrzeć się na nią i z tej strony.

JÓZEF GRZELAK

Współpraca polsko-jugosłowiańska rozwija się we wszystkich dziedzinach naszego życia gospodarczego i kulturalnego, przybierając różnorodną formę i zakresy. Jedną z takich form jest wzajemne zainteresowanie i wymiana w dziedzinie teatru. Związki życia teatralnego Łodzi z teatrem Jugosławii mają już kilkunastoletnią tradycję. Ten fakt skłania do snucia refleksji na temat wzajemnych kontaktów i powiązań między teatrem łódzkim a dramatem i sceną jugosłowiańską. Należałoby może w tym miejscu przypomnieć pewne fakty, które stały się już historią w zakresie wzajemnych powiązań teatralnych.

Na marginesie warto zauważyć, iż początki tych kontaktów sięgają aż do okresu Odrodzenia. Wywodzą się one przede wszystkim, jak się wydaje, ze wspólnoty językowej i powtarzających się zbliżeń losów obydwu narodów. W okresie międzywojennym podtrzymuje się silnie tę więź w Krakowie, Lwowie i Warszawie, a z drugiej strony w Belgradzie i Zagrzebiu. Po drugiej wojnie światowej kontakty te przybierają na sile w latach 60-tych. I właśnie to Łódź, jako pierwszy ośrodek w kraju nawiązuje kontakty teatralne z Jugosławią. To nasze miasto konsekwentnie i najsilniej utrzymuje tradycję wzajemnych wymian, wizyt i prezentacji sztuk.

Teatr Powszechny, jako pierwszy po wojnie, w Polsce wystawia sztukę B. Nusicia „Pani Ministrowa” w reżyserii zaproszonego Bratko Krefta — dramaturga i reżysera słoweńskiego. Był to pierwszy reżyser współpracujący z teatrem polskim. Komedia ta z J. Chojnacka w roli głównej cieszyła się dużym powodzeniem. W tymże roku Vladimir Rijavec opracowuje w tym teatrze scenografię do sztuki B. Shawa „Pigmalion”. W dwa lata później Teatr Powszechny przygotował następną prapremierę jugosłowiańskiej sztuki pt. „Ostrożnie z małżeństwem” D. Roksandicia w reżyserii R. Stawowskiego — komedii tej grano później w 9-ciu teatrach polskich.

W parę miesięcy po ukazaniu się na scenie sztuki D. Roksandicia, (wybór tego utworu kwestionowali recenzenci wyrażając nadzieję na przebrnięcie wartościowszego dorobku dramaturgii jugosłowiańskiej) Teatr Nowy spełniając te oczekiwania wystawia dramaturgię M. Kreleza „Bank Glembay Ltd” (Kreleza był wtedy już uznanym klasykiem). K. Dejmek zaprosił wybitnego człowieka teatru Bojana Stupicia do reżyserii i opracowania scenografii do tej sztuki. Ziechała się wtedy krytyka teatralna całej Polski i oceniono całość wysiłków bardzo wysoko. Przed paroma miesiącami wystawiano ten utwór w Teatrze Telewizyjnym Łódź w reżyserii R. Sobolewskiego. Mimo świetnych kreacji aktorskich sztuka ta nie powtórzyła sukcesu i jak określił K. Eberhardt „podała się działaniu czasu”.

Najwięcej jednak zasług na tym

## KONTAKTY ŁODZI Z TEATREM JUGOSŁOWIAŃSKIM

polu ma Teatr im. S. Jaracza — wystawia następujące utwory: T. Strozzi „Grę i rzeczywistość” (1961 r.), Dv. Dobriczanina „Grunt to rodzinka” (1961) i w 1968 r. dramat V. B. Suboticia „Apel”. Ten ostatni utwór prezentował współczesną dramaturgię zaprzyjaźnionego kraju. A problem jaki poruszał — wojna, budowa nowego życia — był bliski widzom polskim.

Obok tej recepcji dramatu jugosłowiańskiego na łódzkich scenach należy uwzględnić fakt wzajemnych wymian teatralnych. I tak teatr Powszechny wystawienie komedii Nusicia poprzedził wizyta zespołu w Lublanie i Zagrzebiu (1957), natomiast Teatr Narodowy z Lublany gościł w tym samym roku z rewizytą. Zespół TP uczestniczył też na Festiwalu Teatrów grających w języku esperanto w Pulii (1968), prezentując sztukę S. Wincelberga pt. „Katak” — odniesiono wtedy duży sukces.

Na podobnych zasadach odbyła się też wymiana Teatru Nowego z Serbskim Teatrem z Nowego Sadu (1958) a prezentowane tam spektakle — m. in. „Żywot Józefa” M. Reja — stały się manifestacją zachwytu i uznania dla polskiej sztuki, którą przedstawił teatr naszego miasta.

Teatr im. S. Jaracza podjął dalsze kontakty i tak w 1967 r. nawiązuje współpracę w ramach międzynarodowego układu o wzajemnej wymianie kulturalnej z Teatrem Ludowym z Zenicy — (Zenica to miasto o podobnym charakterze co Łódź). Rezultatem tego był dwukrotny przyjazd zespołu z Zenicy (1968 i 1971). Szczególnie ostatnie występy tego teatru jak i sama sztuka „Ugursus” N. Ibrsimovicia, sadząc po wypełnionej po brzegi widowni jak i po opinii recenzentów, odniosła znaczny sukces. A zaprzyjaźniony teatr łódzki objechał ze swoim repertuarem takie miasta w Jugosławii jak Banialuka, Zenica, Tuzla, Mostar i Dubrownik. Wzajemne te wizyty pozwoliły nie tylko na prezentację sztuk i dorobku dramaturgicznego obydwu krajów, ale także dały możliwość potwierdzenia uczu-

przyjaźni i wspólnych zainteresowań. Kontynuacją dalszego współdziałania na polu kulturalnym było zaproszenie i występ naszego Teatru Wielkiego na Festiwalu Operowym w Lublanie w lipcu 1971 roku. Teatr ten był pierwszym w dziejach tego festiwalu zespołem polskim. Publiczność jak i zagraniczni recenzenci gorąco przyjęli dwie opery: „Kniazia Igora” A. Borodina i „Tragedię o Janie i Herodzie” — R. Twardowskiego. Teatr Wielki okazał się dobrym ambasadorem polskiej sztuki operowej.

A w marcu br. nasza opera gościła jugosłowiańskiego dyrygenta Cirila Cvetko. W przyszłości zaś Teatr Wielki wystąpi ponownie na festiwalu w Lublanie. Warto może jeszcze dodać, że teatr dla dzieci „Arlekin”, jako pierwszy w Polsce, włączył do swego repertuaru dwie sztuki Vjśni Stahuljank, które przez pięć sezonów cieszyły się ogromnym powodzeniem. Teatr ten jak i „Pinokio” prowadzi wymianę sztuk i odwiedzin.

Obserwując wzajemne kontakty, wymiany teatrów łódzkich i jugosłowiańskich w 25-lecie powojennym, można stwierdzić że Łódź w skali ogólnopolskiej jest ośrodkiem, który tworzy nową historię i kontynuuje tradycję związków kulturalnych. Należy odnotować tu jeszcze fakty, które wpływają na istniejący stan rzeczy: w Uniwersytecie Łódzkim istnieje od szeregu lat lektorat języka serbo-chorwackiego, który prowadzi mgr Krystyna Kaszyńska, a pierwszym lektorem języka polskiego w Uniwersytecie Belgradzkim po wojnie był Stanisław Kaszyński samodzielny pracownik naukowy Uniwersytetu Łódzkiego.

Warunkiem żywej wymiany kulturalnej są istniejące wartości po obu stronach — w tym wypadku sztuki teatralnej. W Jugosławii chętnie grani sa dramaturdy współcześni: St. Mrozek, L. Kruczkowski, B. Drozdowski i Z. Skowroński. Wydaje się, że podtrzymywanie istniejących od dawna węzłów kulturalnych dla wspólnego dobra sztuki teatralnej potrzebne jest obu narodom.

TERESA WOJCIECHOWSKA

# Legenda o tragicznej miłości

Ta premiera była oczekiwana z dużym zainteresowaniem, spodziewaliśmy się — dziś już wiadomo, że słusznie — iż będzie kolejnym wydarzeniem artystycznym na scenie Teatru Wielkiego. Te oczekiwania związane były i z nazwiskami realizatorów i z nazwiskami kompozytora, którego setną rocznicę urodzin UNESCO włączyło do światowych obchodów kulturalnych, a rocznica ta przypada właśnie na rok bieżący.

Zacharia Pallaszwili uważany jest za twórcę narodowej szkoły muzycznej, twórcę gruzińskiej opery narodowej. Jego „Daisi” mieliśmy okazję oglądać podczas wizyty Teatru Opery i Baletu z Tbilisi w Łodzi, jego największe dzieło operowe „Abesalom i Eteri”, wystawione u nas pod tytułem „Legenda Gruzinińska”, oglądaliśmy w wykonaniu artystów polskiego teatru. Poza Związkiem Radzieckim opera ta nie była jeszcze w innych krajach Europy wystawiana, łódzka prapremiera można więc nazwać prapremierą nie tylko polską.

Nielatwe to było dla artystów Teatru Wielkiego zadanie. Pallaszwili jest kompozytorem, który „zeuropeizował” muzykę gruzińską. Wykorzystując jej bardziej wokalne niż instrumentalne tradycje, ujął motywy ludowej muzyki gruzińskiej w formy sceniczne powszechnie w świecie stosowane. Nie ułatwił tym jednak zadania stojącego przed europejskimi wykonawcami. To co najpiękniejsze w jego muzyce, co najwartościowsze — to właśnie owa gruzińska specyfika, zachowująca charakterystyczną melodykę i harmonikę.

Czego spodziewaliśmy się po „Legendzie Gruzinińskiej”? Umuzycznionej, poetyckiej baśni, których tak wiele w słonecznej starej Gruzji. Autor libretta Pietrie Mirianaszwili sięgnął po temat do przebogatego źródła — jednej z najpiękniejszych legend anonimowego autora — „Eteriani”, opowiadającej o losach miłości królewicza Abesaloma do wiejskiej dziewczyny Eteri. Wielka miłość bywa na ogół nieszczęśliwa, bowiem miłość szczęśliwa z czasem przestaje być wielką. Zнали już tę prawdę starożytni bardowie, więc miłość Abesaloma i Eteri jest również nieszczęśliwa, macą ją czarnoksiężskie sztuczki Murmana, doradcy królewskiego, również zakochanego w Eteri. W legendzie wszystko jest możliwe, mało za to ważna logika wydarzeń, istotny zaś urok scenarii w jakiej jest pokazana i piękno muzyki, jaką jest opowiedziana.

A to są właśnie dwie najmocniejsze strony łódzkiego przedstawienia, które zawdzięczamy jego autorom. **DZANSUG KACHIDZE**, inicjator wystawienia „Legendy Gruzinińskiej” na scenie Teatru Wielkiego i właściwie główny jej realizator, ukazywał się nam już niejednokrotnie jako muzyk wszechstronnie utalentowany, o niezwykłej wrażliwości i muzikalności, doskonałym wyczuwaczem i znajomością praw rządzących teatrem operowym. Pisaliśmy o nim już wielokrotnie z najwyższym uznaniem i właściwie wszystko co się napisze jeszcze, będzie powtórzeniem poprzednich słów. Niewątpliwie przygotowując tę pozycję, Dżansug Kachidze miał do niej stosunek szczególnie osobisty, specjalnie serdecznie zależało mu na tym, by przedstawi-



Eteri — Teresa May-Czyżowska

nie wypadło jak najlepiej, by uzyskało jak najdoskonalszy kształt, by piękno muzyki gruzińskiej pokazane zostało w Polsce w jak najczystszej, najbliższym oryginalnemu, kształcie. Nie mówiąc już o znakomitym przygotowaniu orkiestry (przypuszczam, że Kachidze pracował nie tylko z poszczególnymi grupami instrumentów, ale również z poszczególnymi instrumentalistami), współuczestniczył on w tłumaczeniu libretta (świeżego poetyckiego przekładu z języka oryginału dokonał **IGOR SIKIRYCKI**, w sposób możliwie najwierniejszy zachowując w obcym brzmieniu języku charakter tekstu gruzińskiego). Kachidze pracował też z solistami, pracował z chórem starając się nadać mu brzmienie jak najbardziej zbliżone do brzmienia chóru gruzińskiego. W jednym fragmencie, podczas toastu weselnego, pozostawiono nieprzetłumaczalny tekst

języka oryginału. Nie znam gruzińskiego, ale wydaje mi się, że lepiej żaden Polak by tego nie zaśpiewał.

„Legenda Gruzinińska” jest owocem harmonijnej współpracy kierownika muzycznego z reżyserem i scenografem. Reżyser i inscenizator **GURAM MELIWA** znany jest nam również z pobytu tbiliskiego Teatru Opery i Baletu w Łodzi. Zaproszenie tego artysty do realizacji „Legendy” było zapewne wyborem bezbłędnym. Meliwa nie starał się sztucznie ożywić ruchem statycznego z charakteru dzieła gdzie akcja, fabuła odgrywały rolę drugorzędą. Jego wysiłki poszły raczej w kierunku stworzenia widowiska monumentalnego, operującego grupami, w kierunku pięknego plastycznie ich rozstawienia, tworzenia obrazów niemal malarskich. Tej koncepcji sprzyjała również działalność scenografa **HENRI POULAINA**, który zbudował scenę ru-

chowymi elementami dekoracji w stylu starogruzinijskich fresków, utrzymanych w kolorze starego złota i zharmonizowanych kolorystycznie z kostiumami z VIII—XI wieku. Dzięki temu otrzymaliśmy piękne, niepowtarzalne w stylu widowisko.

Ta wspaniała sceneria jest jednak tylko tłem dla muzyki. W niej zaś tym, co oczarowuje najbardziej są chyba partie chórów. Wielki był tu wkład pracy **WŁODZIMIERZA POSPIECHA** i znakomite osiągnął efekty. Wydawało się, że po akcie pierwszym, po wspaniałym popisie chóru w scenach uczy weselnej, nie nas więcej już oczarować nie będzie mogło. Ale i dalsze akty dalej budziły zachwyt dla wręcz popisowego, szlachetnego, czystego brzmienia, ogromnej dynamiki.

Nielatwe zadanie mieli i soliści. Oni także zwycięsko pokonali trudności nietypowej dla nich wokalistyki. W partii Eteri słyszeliśmy **Terese May-Czyżowską**. Nasza świetna śpiewaczka, tym razem mniej może przekonywająca aktorsko, zaśpiewała pięknie swą partię, zdobywając pełny blask i liryzm tej muzyki. W drugiej obsadzie **Halina Romanowska**, prezentująca inny nieco typ wokalistyki, zaśpiewała również pięknie, aktorsko zaś stworzyła postać bardziej wyszoną, miękką w rysunku. W partii Abesaloma słyszeliśmy w pierwszej obsadzie **Tadeusza Kopackiego**, który aktorsko znalazł chyba bezbłędną interpretację baśniowego królewicza, śpiewem zaś sprawił wiele satysfakcji widzowi. Nie zawiódł również publiczności **Jerzy Orłowski**, którego słuchaliśmy w drugiej obsadzie. W partii Murmana słyszeliśmy **Zbigniewa Jankowskiego**, który zabłysnął tu świetną kreacją. Po raz pierwszy badaj artysta ten pokazał duże zdolności aktorskie, zaskoczył też (a przecież słyszeliśmy go już nieraz) możliwościami wokalnymi, szeroką skalą, pięknym czystym brzmieniem. Wydaje się, że nie jest to jego „ostatnie słowo”, że Jankowski zadziwi nas nie raz jeszcze, jeśli dalej pójdzie drogą, na którą wstąpił.

Na osobne wymienienie zasługują jeszcze dwaj wykonawcy Tandarucha — **Zygmunt Zając** i **Kazimierz Misztela**, a szczególnie ten pierwszy za fascynującą śpiewany toast w akcie pierwszym, a także za krótki epizod wokalny — **Lidia Skowron**. Poza tym wystąpili: **Zdzisław Krzywicki** i **Eugeniusz Nizioł** (Abio), **Jadwiga Mirecka** i **Izabela Strzałkowska** (Nateła), **Ewelina Kwaśniewska** (Marich), **Zbigniew Borkowski** (Podczasz), **Michał Marchut** i **Tadeusz Gawroński** (Dworzanin).

Stroną choreograficzną przedstawienia zajęć się miał baletmistrz Teatru Opery i Baletu z Tbilisi, nie mógł jednak do Polski w tym czasie przyjechać. Pracy tej podjął się więc **WŁODZIMIERZ TRACZEWSKI** przy konsultacji solisty teatru tbiliskiego **Dżemala Nawrozaszwili**. Trudno mieć tu do baletu jakiegokolwiek pretensje, swe zadania tancerze wykonali poprawnie, a nie ich to wina, że oglądaliśmy tańce gruzińskie w wykonaniu najlepszym, bo baletu gruzińskiego, więc mimowolnie nasuwały się porównania.

W sumie Teatr Wielki w Łodzi może zapisać na swe konto jeszcze jeden sukces i piękne, barwne widowisko, które na pewno cieszyć się będzie zasłużonym powodzeniem.

**Zacharia Pallaszwili: LEGENDA GRUZINIŃSKA** (Abesalom i Eteri). Kierownictwo muzyczne: **DZANSUG KACHIDZE**; inscenizacja i reżyseria: **GURAM MELIWA**; scenografia: **HENRI POULAIN**; współpraca choreograficzna: **WŁODZIMIERZ TRACZEWSKI**; kierownictwo chóru: **WŁODZIMIERZ POSPIECH**. Teatr Wielki w Łodzi. Prapremiera polska 10 czerwca 1972 r.

Państwo niemieckie w drugiej połowie X wieku było stosunkowo luźnym złączkiem feudałnych księstw, na których czele stali miejscowi panowie, ustawnie klócający się między sobą, których tylko z największym trudem udawało się cesarzowi utrzymać w ryzach. Wystarczyło jednak, aby imperator oddalił się gdzieś w inne strony, aby znowu wybuchły dawne waśnie, rozdziły się nowe ambicje i konflikty. Nie dziwi więc nikt, że kiedy Otto I przebywał w odległej Italii, jeden z margrabiów wschodnich, mianowicie **Hodon**, sprawujący władzę na Łużycach, zaniepokojony wzrostem potęgi państwa polskiego, a zwłaszcza czątką rozwijaną przez nie ekspansją terytorialną, postanowił na własną rękę podjąć kroki, których celem było powściągnięcie politycznych ambicji **Mieszka I**, a kto wie, czy nie dokonanie istotnej zmiany w układzie stosunków polsko-niemieckich.

Zorganizował więc wojenną wyprawę przeciw Polsce. Było to w 972 roku. Szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że wiemy o niej stosunkowo wiele. Stało się tak dlatego, że dzieje tej wojny zaczęły kronikarzą merseburskiego

**Thietmara**, którego ojciec brał w niej osobisty udział. Dysponujemy więc świadectwem, w którym zanotowano informacje pochodzące od jednego z tych panów wschodnio-niemieckich, którzy pociągnęli na wschód pod wodzą margrabię **Hodona**. Pociągnęli ale dokąd? Znowu musimy wkrócić na śliski grunt domysłów, na jakie skazany jest każdy historyk, zajmujący się tymi czasami. Wia-

**ANDRZEJ FELIKS GRABSKI**

## Tysiąc lat temu pod Cedynią

domo, że armia margrabięgo dotarła do miejscowości, której nazwę zapisano w łacińskiej kronice w formie „Cidini”: chodzi tu niewątpliwie o jakąś słowiańską nazwę miejscową. Na razie pozostawmy sprawę, o jaką nazwę mogłoby tutaj chodzić. Wiemy, że w wyprawie przeciw Mieszkoowi wzięli udział oprócz margrabięgo **Hodona** także **graf Zygfryd z Walbeck**, ojciec dziejopisa **Thietmara**

oraz inni panowie, którzy nie są nam znani z imienia i zostają anonimowi. Otóż władztwo **Hodona**, jak wiadomo, obejmowało terytorium saskiej marchii wschodniej, której głównym tronem były Łużyce i dochodziło do Odry w jej środkowym biegu. Gdyby nie to, że wiemy coś niecoś o grafie **Zygfrydzie**, moglibyśmy mniemać, że margrabia ściągnął na tę wojnę wojsko z terenów, które

**Ziemi Lubuskiej**, bądź w północno-wschodniej części Śląska.

Tak też zapewne by było, gdybyśmy mieli pewność, iż wyprawa margrabięgo **Hodona** była li tylko jego indywidualnym przedsięwzięciem polityczno-wojskowym, podjętym bez porozumienia z panami spoza jego marchii i bez poparcia kogokolwiek z zewnątrz, gdyby została zmontowana tylko w oparciu o siły **Hodonowej marchii**. Ale

podlegały jego władzy i kierował się ku polskiej granicy idąc przez własne ziemie, a więc kierunek uderzenia wiodłby w stronę nadodrzańskieg **Krosna**. Biegi tedy prastary szlak, wielokrotnie wykorzystywany w wiekach X—XI w zmaganiach polsko-niemieckich. Wówczas winnibyśmy byli poszukiwać miejscowości o nazwie „Cidini” tak, jak to już czynili niektórzy historycy, gdzieś albo na

tak przecież nie było. Świadczy o tym osoba **grafa Zygfryda**, którego grabstwo bynajmniej nie podlegało władzy **Hodona** i nie leżało na terenie jego marchii, lecz zgola gdzie indziej. Znajdowało się ono na obszarze pozostającym pod władzą margrabięgo **Dytryka**, tego samego, który z ramienia cesarza sprawował wówczas zwierzchnictwo nad wszystkimi niemieckimi margrabiami na wschodzie. Czyż

byłoby możliwe, aby **graf Zygfryd** oraz ci nieznanymi z imienia znakomici rycerze, którzy podążyli na pomoc **Hodonowi**, władcy sąsiedniej marchii, działali wbrew swemu własnemu zwierzchnikowi, margrabiemu **Dytrykowi**? Gdyby tak było, spotkałaby ich potem surowa kara, przynajmniej tych, którzy by wynieśli głowę z tej wojny. Tymczasem nic takiego się nie stało. Wolno się nam więc domyślać, że wprawdzie wyprawę przeciwko Polsce **Mieszka I** zorganizował **Hodon** i uczynił to nie oglądając się na cesarza, ale przecież nie gotował się do niej zupełnie sam. Udział **grafa Zygfryda z Walbeck** w tej wojnie wskazuje, że musiała ona zostać zorganizowana przy chociażby milczącym, jeżeli już nie jawnym poparciu ze strony margrabięgo **Dytryka**. Okoliczność, że spośród panów z marchii **Dytrykowej** tylko jeden wyruszył „ze swoimi” na tę wojnę mogłaby wskazywać, że dostojnik sprawujący władzę zwierzchnią we wszystkich marchiach w tej części państwa niemieckiego — **Dytryk** — nie myślał mimo wszystko angażować się w nią oficjalnie. Nie miał jednak nic przeciw temu, aby podlegli mu



**WIECH ODRODZONY**

A już mówili, że Wiech się kończy i tak prawdę mówiąc to ostatnie książki piewcy (a po części i twórcy) warszawskiej gwary troszkę już nudziły. Sama warstwa językowa jakoś nie starczała, przestała być samograjem, który bawi bez względu na treść i temat. Jeszcze chwycił pomysł „Ksiutów z Meipomeną”, wydanych blisko 10 lat temu. Z następnymi było gorzej.

I oto znów Wiech wystrzelił „samym życiem”. Jego nowa książka nazywa się „Przez łufki” i zawiera króciutkie felietony drukowane w „Expressie Wieczornym”. Mówi się, że nie tak nie ożywia jej, jak parę trupów. Stosując to do literatury można rzec, że nie tak nie ożywia jej, jak kontakt z codziennością. Wiech jest z temperamentu felietonista i te króciutkie „michaliki”, pisane na gorąco, na potrzeby popularyzatorskie, naprawdę wyżej stoją od literacko udrapowanych nowelek czy powieści. I wartość literacka i dokumentalna tych felietonów wcale nie mniejsza od „literackości” „Café pod Miłogą”, „Różni Mortusielaków” czy „Felusia Kitajca i jego fajny”...

Jest bowiem w tym zbiorze jakiś duży szmat naszych spraw codziennych, pokazanych w swolsty sposób, opowiedzianych ekspresyjnym językiem wiechowiskim. Czytamy więc i o usterkach w budownictwie i o grypie Hongkong, o nowym Dworcu Wschodnim, o filmie „Pan Wołodyjowski”, o Dniu Kobiet, o Szurkowskim, o przeszczechach... Słowem o tym wszystkim, co nas w minionych latach i miesiącach zajmowało.

Świetna, żywa książka — zupełnie nowy i znakomity Wiech. Po latach dość nudnych humoressek można powiedzieć, że jest to Wiech — redivivus.

J. W.

Wiech „PRZEZ ŁUFKI”. Czytelnik 1972, cena 14 zł.

Gdyby pierwszego lepszego Francuza spod znaku na przykład Ecole de Paris zapytać z głupia frant, jakiego to on przypomina sobie angielskiego malarza, prawdopodobnie najpierw wyraziłby on głęboką wątpliwość, czy na tej wyspie tworzył kiedykolwiek jakiś malarz, o którym warto wspominać, a przybliżony przez nas do muru wymieniliby bez wątpienia Holbeina Młodsze z Augsburga (1497—1543) i Turnera (1775—1851) i dawałby głowę, że od „tamtych czasów” nikogo więcej nie było. Przewrotna to anegdota, gdy weźmie się pod uwagę fakty. Iż Holbein był Niemcem i obieżyświatem, a Turner tworzył w okresie przelatywnej koalicji Anglii z Francją w dziedzinie artystyczno-literackiej, kiedy wraz z Constablem i Boningtonem stał na tych samych barykadach romantyzmu, co Gérault i Delacroix i swą akwarelę kładł pomost między Claude Lorrainem a Claude Monetem. Jednak kryje się w niej również żdźbło prawdy. Otóż obecność plastyki brytyjskiej na forum międzynarodowym datuje się od niedawna a ściślej od początku lat pięćdziesiątych i zainteresowanie nią jest równie świeżej daty. Nie ma w tym przesady, bo na kontynencie niewiele przepadało za romantycznym pejzażem angielskim, a z kolei duma Brytyjczyków, hermetyzm i przywiązanie do tradycji obrosłej bluszczem starości i niesprawiedliwych często mitów, uniemożliwiały szersze i istotnie inspirujące kontakty z aktualnymi prądami panującymi w europejskiej sztuce XX wieku. Wystarczy sięgnąć do lat 1910—1911, kiedy to na Wyspę zawitały wystawy francuskich postimpresjonistów, a w latach późniejszych kubistów i futurystów, jednakowo odbierane przez



Lucien Freud — Dziewczyna z różami (olej, 1947/48)

ANDRZEJ GRUN

# Lew pełen dobrych chęci

Anglików jako oczywiste dowody kpin i obrazy.

Oczywiście, byli twórcy, którzy starali się zbliżyć do aktualnej sztuki kontynentu, zrozumieć ją i przenieść jej idee i doświadczenia formalne na grunt angielski. Należał do nich Wyndham Lewis (1882—1957), ofiarny popularyzator, lecz mierny malarz, w okresie między wielkimi wojnami zaś Ben Nicholson, Henry Moore, Graham Sutherland. W ich to wysiłku, w ich prywatnych kontaktach z francuskimi i włoskimi artystami szukać trzeba źródeł rewolucji, jaka dokonała się w sztuce brytyjskiej po II wojnie światowej. Sama wojna z kolei nagnała na Wyspę fale emigrantów, wśród których znalazło się wielu twórców, uważających, że kanał La Manche dzieli ich mniejszą odległością od ojczyzny, niż przestrzeń Oceanu Atlantyckiego. Znaleźli się tam wtedy starzy znajomi Bena Nicholsona — Gabo i Hendrian. Trzeba też pamiętać, że spośród wszystkich kierunków a-

wangardy europejskiej, jeden znalazł sobie niejaki prawo obywatelstwa na Wyspie i to jeszcze w latach międzywojennych. Mowa tu o surrealizmie (w 1936 roku odbyła się w Londynie Wielka Międzynarodowa Wystawa Surrealizmu), którego jednym z prekursorów był William Blake, a szczególnie wernym wyznawcą przez długie lata Graham Sutherland, na twórczości którego budowali własną twórczość najpierw rysownik Blitz, a po wojnie, w latach 40-tych i 50-tych Francis Bacon.

Wystawa powojennego malarstwa brytyjskiego w Muzeum Narodowym jest czytelnym wykresem tych wszystkich przemian, jakie dokonały się w sztuce brytyjskiej, z wyżej wspomnianych powodów. Podstawowe wartości tej wystawy to przede wszystkim wartości dydaktyczne. Dobór eksponatów został tak przeprowadzony, aby zaprezentować najpierw kierunek poszukiwań i miejsce na mapie rodzimej sztuki oraz cechy najcharakterystyczniejsze po-

szczególnych malarzy bez większych ambicji pokazania ich dzieł najlepszych. Tak dzieje się na przykład w wypadku Bacona, urodzonego w Dublinie, w 1909 roku, dalekiego potomka sir Francis Bacona. Ten największy powojenny malarz angielski łączy w sobie wspaniałe okrucieństwo wizji z niebywałym, niespotykanym dziś kunsztem malarskim. Obrazy jego, ekspresyjno-surrealistyczne posiadające urzekającą piękną tkankę malarską, są dziś w najwyższej cenie na światowym rynku sztuki. William Packer tak pisze o Baconie: „Francis Bacon wyrasta jak kolos ponad malarstwo brytyjskie, począwszy od lat czterdziestych. Intensywność i brutalność jego wizji paraliżuje widza. Świetność, a nawet kuszące piękno wykonania, umacnia surrealizm tych wyobrażeń. Jakkolwiek dziwne jest mówić to o Baconie, nie da się jednak ukryć, że słodycz i piękno nadwreżyły siłę wyrazu prac, które pozostają nadal technicznie „tours-de-force,

lecz brak im jeszcze owego wrażenia przerażającej niezwykłości i opuszczenia, charakterystycznego dla twórczości Bacona w późnych latach pięćdziesiątych i pierwszych latach sześćdziesiątych — tych właśnie cech, które potwierdziły jego sławę wielkiego malarza”.

Zaprezentowane na wystawie obrazy można podzielić na dwie zasadnicze grupy — figuratywne i abstrakcyjne, z tym, że nie ma między nimi wyraźnego podziału, jako że kilku malarzy łączy na swoich płótnach te obie tendencje. Widać to wyraźnie u Bena Nicholsona, Williama Scotta i Rogera Hiltona, który prezentował Anglię na weneckim Biennale w 1964 roku. Figuracja brytyjska poza Freudem i Baconem skłania się w kierunku sztuki „Pop”. Abstrakcja natomiast nawiązuje wyraźnie do romantycznych tradycji angielskiego pejzażu XIX wieku.

Pop-Art powstał właściwie w Wielkiej Brytanii i był on wynikiem pobudzenia wyobraźni przez „pejzaże wtórne”, to znaczy te, które stworzył sam człowiek w obrębie obecnej cywilizacji. Źródłami inspiracji stały się więc: film, prasa, reklama i otoczenie przez nie przekształcone. Wykonawcami „Popu” stali się z kolei ludzie, którzy wyszli z klas pracujących, z tych samych, z których wywodzą się Beatlesi i Rolling-Stones. Ten moment klasowy w ideologii i rozumieniu Pop-Artu jest czynnikiem ważnym. Nie mamy niestety możliwości obejrzania dwóch najważniejszych bodajże przedstawicieli tego ruchu, Rzeźbiarza Eduardo Paolozzi, Szkota z Edynburga, w którego żyłach płynie krew emigrantów włoskich i Richarda Hamiltona, malarza, który tymi słowy określa swoją twórczość: „Czasem reklamy czynią mnie poetycznym jak wosk; Staran się określić to szczególne połączenie czci i cynizmu, które powstaje we mnie dzięki kulturze „Pop”. We wstępie do katalogu wystawy William Packer pisze o nim, że: Hamilton jest postacią ważną, ponieważ wypełnia przerwę pomiędzy dwiema generacjami; wywierał też potężny wpływ na młodych artystów, aczkolwiek bardziej poprzez idee i działalność pedagogiczną, niż przez swoje malarstwo”.

Nie sposób nie odróżnić zasadniczych różnic między angielską sztuką „Pop” a jej amerykańską wersją. Różnice są tu wyraźne począwszy od skali aż po siłę zaangażowania osobistego. Kiedy w Ameryce Pop-Art cierpi na „chorobę słonową” w Anglii przybiera on formy indywidualnej, kameralnej niemal zabawy. Ten umiar jest cechą całej brytyjskiej sztuki. Umiar, elegancja, grzeczny, a nawet dystygnowany sposób wystawiania się, czynią ją miłą dla oka, ale trudną do zapamiętania. Można jej się z łatwością poddać, gorzej, gdy chcemy ją przeżywać i zachować na dłużej. Przy wszystkich formach obrazoburstwa czyni ona nieodparte wrażenie układnej konwersacji. Podczas, gdy wiktoriańska obyczajowość pęka w szwach, a urocze, dickensowskie „zakątki-pamiętki” obsiadają długowłose, wiekowa tradycja angielskiego, romantycznego pejzażu okazuje się być silna i trwała.

panowie podążali na nią niejako na własną rękę. Dlatego to odrzucając domysł jednego z naszych historyków, że w wypadku wyprawy Hodona mamy do czynienia z oficjalną ekspedycją przeciw Mieszowskiemu „zarządzoną przez zastępcę cesarza nad Łabą, Dytryka” opowiedzielibyśmy się za lepiej udokumentowanym twierdzeniem, że została ona podjęta za cichą zgodą margrabiego. Byłby to więc jeszcze jeden z licznych w tych czasach przykładów niesubordynacji panów wschodniemieckich w stosunku do ich monarchy, wykorzystanie faktu, że cesarz znajdował się daleko, do podjęcia próby podporządkowania sobie niewygodnego i rosnącego w potęgę władcy sąsiedniego państwa. Przywykłym do sukcesów panom niemieckim nie było łatwo pogodzić się z tym, że tuż za Odrą rządzą nie oni, lecz niedawny poganin, teraz zaś „przyjaciel cesarza”...

„Tymczasem dostojny margrabia Hodo — czytamy w kronice Thietmara — zebrałszy wojsko, napadł z nim na Mieszka, który był wierny cesarzowi i płacił trybut aż po rzekę Wartę. Na pomoc margrabiemu pośpieszył wraz ze swoimi tylko mój ojciec, graf

Zygfryd, podówczas młodzieniec i jeszcze nieżonaty. W dzień św. Jana Chrzciciela (24 czerwca) starli się z Mieszkiem, odnieśli zrazu zwycięstwo, lecz potem w niejasności zwanej Cidini brat jego Czcibor zadał im klęskę, kładąc trupem wszystkich najłepszych rycerzy z wyjątkiem wspomnianych grafów”. Relację Thietmara uzupełnia informacja Brunona z Kwerfurtu o tym, że Mieszko „sztuką zwyciężył” margrabiego Hodona.

Postaramy się teraz zlokalizować teren, na którym działy się te wydarzenia. Historycy identyfikują „Cidini” z miejscowością Cedynia, leżącą po prawym brzegu Odry, na północ od ujścia do niej Warty, gdzie podówczas znajdował się gród, strzegący ważnego szlaku wiodącego przez Odrę. Należy sądzić, że tą właśnie drogą wkroczyli na ziemię polskie wojska prowadzone przez Hodona, które wyruszyły gdzieś z południowej Łąby. Zapewne nieco na południowy zachód od grodu w Cedyni nastąpiło pierwsze starcie z czołowymi oddziałami polskimi. Tą właśnie, wysuniętą ku przodowi częścią swej armii dowodził osobiście Mieszko I. Na czele drugiej, pozosta-

jącej nieco w tyle, części polskich oddziałów znajdował się brat książęcy Czcibor. Doszło więc najpierw do starcia wojsk niemieckich z czołowymi oddziałami Polaków, które podobnie jak to było w bitwie w 967 roku, jęły powoli ustępować pod naporem wroga, zmuszając go do rozciągnięcia się na dłuższym odcinku drogi i rozluźnienia swych szyków. To właśnie oznacza sformułowanie kronikarza, że w bitwie tej Niemcy zrazu odnieśli byli zwycięstwo. Najeźdźcy byli już o tym przekonani, kiedy niespodziewanie wkroczyły do walki odwodowe oddziały polskie pod wodzą Czcibora. Uderzyły one na Niemców najpewniej z flanki, podczas gdy ustępujące dotąd szlaki Mieszka przeszły do kontrataku. Bitwa zakończyła się drugą klęską Niemców, którzy zostali wybiti niemal do nogi, skoro zdołali uciec z życiem tylko margrabia Hodo i graf Zygfryd. Nawet Niemcy doszli do przekonania, że zostali pokonani sztuką wojenną Polaków, skoro taki pogląd doszedł do uszu Brunona z Kwerfurtu, człowieka, który w przyszłości będzie bliskim współpracownikiem politycznym Bolesława Chrobrego. Okoliczność, że

w bitwie tej wzięli bezpośredni udział zarówno władca Polski, jak jego brat wskazuje, że strona polska uznała niebezpieczeństwo za poważne. Bitwa, stoczona przez wojsko polskie pod Cedynią dnia 24 czerwca 972 roku świadczy dobitnie o wartości ówczesnego polskiego żołnierza i wysokich walorach polskiej sztuki wojennej. Pamiętajmy, że Polakom przychodziło teraz odparć nie najzwyklejszych słowiańskich wojowników, ale wytrawnych specjalistów od walk z Słowianami, dowodzonych przez margrabiego Hodona.

„Cesarz poruszony do żywego wieścią o tej klęsce — zapisywał niemiecki dziejopis — wysłał czym prędzej gońców, nakazując Hodonowi i Mieszowskiemu, aby pod rygorem utraty jego łaski zachowali pokój do czasu, gdy przybędzie na miejsce i osobiście zbada sprawę”. Miało to nastąpić niebawem, na wiosnę przyszłego roku, kiedy Otto I wraz ze swoim świeżo ukoronowanym synem — imiennikiem, podążył do wschodnich prowincji swego państwa. W drugiej połowie marca stanął w Kwedlinburgu, dokąd zwołał wielki zjazd polityczny. Prócz mnóstwa innych ważnych spraw

miał wówczas cesarz rozstrzygnąć konflikt, jaki powstał między panami wschodniemieckimi a władcą Polski. Jak pragnął go zażegnać? Otóż zgoda innej, niż byśmy się tego spodziewali. Otto nie myślał przyznać racji Mieszowskiemu. Dlaczego? Dla cesarza najważniejszą sprawą było nie dopuścić, aby na wschodzie jego państwa rozpętała się jakakolwiek nowa wojna. A przecież parli do niej panowie z tych części królestwa, z których zdaniem musiał się cesarz bardzo liczyć. Układ układem, ale Ottonowi nie mogło się zbyt podobać, że jego polski „przyjaciel” zadaje dotkliwie ciosy niesubordynowanym, co prawda, ale zawsze niemieckim panom. Niepokoił go wreszcie — podobnie jak ich — polityczny i wojskowy sojusz jaki Polska niedawno zawarła z Czechami. Dlatego też podjął Otto I starania, które miały na celu osłabienie pozycji państwa polskiego, bez naruszania jednak dotychczasowego stanu prawnych stosunków między Polską a cesarstwem.

Fragment książki, która ukazuje się nakładem Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej.

GUSTAW ROMANOWSKI

# Duda - Gracz

Scenograf nie istniejącej już Silnej Grupy pod Wezwaniem, zaprezentował w Łodzi swoje świeże i pełne uroku malarstwo. Jerzego Dudy-Gracza, twórcę młodego pokolenia, dzieli od bieżącej produkcji jego młodych rówieśników właściwie wszystko; bo i forma, i stosunek do obrazu, i wzorce kulturowe, z jakich korzysta, są całkowicie różne od tego, co serwują nam aktualnie na wystawach. Duda-Gracz uprawia bowiem w malarstwie rzadką dziś bardzo formę, jaką jest groteska.

Zakładając, że malarstwo, to w dalszym ciągu prostokąt płótna, na którym malarz-iluzjonista posiada pełne prawo robienia użytku ze swych malarskich umiejętności, Duda-Gracz postanowił prowokować i rozweselać, drażnić i karykaturować. Stąd też w malarstwie tym nie znajdzie się żonglerki tworzywowo-warsztatowej, ani standardowych efektów, jest natomiast w nim dużo społecznej obserwacji, jest cienka ironia i nie ukrywane poczucie humoru. I jest poza tym urocze bajdurzenie środkami czysto malarskimi: barwą, kształtem form i umowną deformacją rodzem z karykatury. W ten

sposób Duda-Gracz rozmija się zupełnie z modą, która kładzie zawsze swoje płytkie, ale nachalne piętno na każdym prawie zjawisku artystycznym, zwłaszcza w plastyce.

Bo malarstwo Dudy-Gracza wywodzi się z potrzeby przetrwania pomostu pomiędzy działalnością plastyka-malarza a odbiorcą pojmowaną jak najszerzej. Pomostu zbudowanego z konkretu, mitu i alegorii.

Konkret w malarstwie Dudy-Gracza — to podparta codzienność: kolejki pod kioskiem z piwem („Piwo”), sceny rodzinne („Ojcostwo”, „Kochankowie”) czy wielkie kibicowanie („Patrioci”). Nie jest to konkret z kroniki wypadków, ale konkret analizującego zjawiska społeczne publicyście. Stąd też malarstwo to idzie w sukurs publiczności społeczno-obywatelskiej: pokazuje w karykaturalnym zbliżeniu i odraża uświęconemu rytuałom zachowania i stany. Odróżnia je z uśmiechem, z dobrocią. Tyle, że jest to dobroć zsydery.

Mit — albo może antymit — w malarstwie Dudy-Gracza odwołuje się do skarykaturowanej rodzimej tradycji: żalostnie funkcjonują-

cej więzi rodzinnej, katolickim widzianym okiem dziecka, pustki otaczającego nas banału. Tu śmierć oznacza hasło do generalnego ataku na „dorobek nieboszczyka” („Tryptyk pamięci ojca”), religia staje się niezrozumiałą monstrualną liturgią pełną pustych gestów, codziennie jest rytuałem ustokrotnionego banału i trywialności („Tryptyk częstochowski”). Patetyczny tytuł „Oczekiwanie” odnosi się do wizerunku staruszka uzbrojonego w „lupkę” i oczekującego ze zdłużonym uśmiechem pojawienia się muchy. „Dominus vobiscum” przedstawia scenę, gdzie trzech opasłych mnichów góruje zwycięsko nad tłumem, w którym litość i twoga... „Kochankowie” — to wielka Ona i miniatury śmieszny On.

Alegoria, której malarz zawiera wiele swoich pomysłów, obejmuje te tematy, które są mu bliskie z jakichś tam powodów. Będą to świadzenia przyjacielskie i rodzinne jak „Roboki” (Portret Kazimierza Grzeszkowiaka), „Silna Grupa pod Wezwaniem” czy „Autoportret z Wilmą” oraz świadzenia sentymentalne jak „Portret poczwórny” czy znakomity obraz „Śmierć referenta”. Zwłaszcza ten ostatni obraz, zbliżony w nastroju do znanej piosenki Tadeusza Chyły, jest kapitalnym przykładem bezbłędnego wyczulenia malarza na ogromne możliwości, jakie niesie w sztuce groteska odbijająca w swoim lekko skrzywionym zwierciadle tak dobrze nam znane aktualia.

Wybór własnego kierunku poszukiwań artystycznych,

jeśli odstaje on od aktualnych tendencji, jest zawsze przedsięwzięciem ryzykownym. Latwo wtedy narazić się na zarzut nienowocześnieści, a w najlepszym przypadku na wzruszenie ramion. Otóż, malarstwa Dudy-Gracza nie można skwitować wzruszeniem ramion, bo jest ono rezonansem potrzeb społecznych w zakresie sztuki masowej i humanistycznej. Okazuje się, że siła nośna groteski może być wielka, a ograniczenie jej jedynie do rysunku satyrycznego w prasie jest praktyką zupełnie nieuzasadnioną. Plebejska groteska w wydaniu Dudy-Gracza rozbija ten dotychczasowy umowny obyczaj, wychodząc na salę wystawową z pokazem świeżym, wymownie odbieranym przez publiczność. Oczywiście, groteska Dudy-Gracza, nie polega na płytkim, powierzchownym trawestowaniu rzeczywistości, na przystrojaniu jej w kulgarski grymas. Jest w niej wytrwała umiejętność malowania, są ślady dobrze przetrawionych studiów nad starym malarstwem, nad warsztatem malarskim.

To powinowactwo, z którego Duda-Gracz nie robi tajemnicy, jest przecież tylko sposobem patrzenia na żywioł otaczających nas rzeczy, zjawisk i ludzi. A że są to sprawy uniwersalne i nie starzejące się — to dobre prawo artysty powinno polegać na ich trzeźwym podpatrywaniu.

JERZY DUDA-GRACZ — malarstwo — Łódź — kwiecień 1972. Wystawa zorganizowana staraniem Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Łodzi.

## OBIEKTYW

### ZAPOWIADACZE

Zapowiadacze występują przeważnie w programach rozrywkowych. Oczywiście, nie we wszystkich, bo programy rozrywkowe dzielą się na różne rodzaje i gatunki. Czasem rozrywka trafia się właśnie tam, gdzie wcale nie jest zamierzona. Osobiście, zaliczam do bardziej udanych audycji rozrywkowych codzienną telewizyjną prognozę pogody, podczas której jeden z dwóch żywiołów atmosferycznych (Wicherek albo Chmurka) przeżywa konflikt między własnymi a niezawodnymi doznaniem pochodzenia reumatologicznego, a naukowo opracowaną (lecz zawodną) przepowiednią synoptyków PIHM.

Zapowiadacze występują na ogół w estradowych programach rozrywkowych, organizowanych przeważnie „z okazji” a składających się z luźnych numerów wokalnych w których piosenkarze usiłują odtańczyć czy też odskakać to co powinni zaśpiewać. Zadaniem zapowiadaczy jest owe numery ze sobą powiązać. Dawniej rolę tę spełniali konferansjerzy. Konferansjerzy, gatunek dziś wymarły, byli to ludzie inteligentni, odznaczający się szybkim refleksem, błyskotliwym dowcipem, szybką orientacją oraz wdziękiem. Był to więc zawód wcale nietawny i w branży rozrywkowej wysoko ceniony.

Dziś konferansjerka przestała być sztuką, stała się zapowiadaniem. Zająć tego imać może każdy preter radiowy i telewizyjny, każda radiowa i telewizyjna preterka. Byłe mieli jaką taką prezencję, a także umiejętność władania głosem. Inteligencja, predyspozycje psychiczne itd. nie są wymagane. Wkrótce (raz jeszcze) będziemy mieli okazję przekonać się o tym podczas Festiwalu Piosenki w Opolu. Ale mamy tę okazję systematycznie, podczas programów estradowych nadawanych przez TV. Stereotypy są już starannie opracowane, zwłaszcza w audycjach o charakterze okazjonalnym. Jeśli na przykład program poświęcony jest pracownikom rybołówstwa, to zapowiadacze oznajmia radośnie, że śladzie z rocznego polowu, ułożone jeden za drugim, też przy ogniu, opasalyby kulę ziemską wzdłuż równika osiemnaście, lub osiemdziesiąt razy. Jeśli to będzie święto pocztowca, to kulę ziemską opaszą listy, lub taśma telegrafu. Jeśli jubileusz gazety, to oczywiście dzienny, miesięczny, lub roczny nakład gazety.

Takie obliczenia są nie tylko efektowne, ale również służyć mogą zręcznemu nawiazaniu do kolejnego występu piosenkarza czy piosenkarki. Oto przykład autentyczny. Pewna para zapowiadaczy, (sobota, 17. VI.) aby nie popadać w szampę dookołaziemską, obliczyli, że nakładem jubileuszowej gazety wyłożył by można trzykrotnie drogę z Warszawy do Katowic. Kryło się w tym obliczeniu przemysłowe nawiazanie do dalszego ciągu programu artystycznego. Bo oto zapowiadaczka mówi:

— Ale proszę państwa, artysta, który za chwilę wystąpi, przebył tę drogę, tylko jeden raz. Nie wątpię jednak, że wszystkich zaspokoili.

Tu zapowiadaczka urwała i spojrziała na kolegę, co oznaczało, że teraz jego kolejka. On nie zawiódł:

— Tak jest. A przede wszystkim panie. Bo to będzie, proszę państwa, Jeeeeerzy Pooooooooomski!!!

I rzeczywiście na estradę wbiegli Jerzy Polomski z takim pośpiechem jakby biegł od samej Warszawy, odtańczył swą piosenkę sam i w towarzystwie, po czym wybiegł również w pośpiechu, zapewne żeby pokonać po raz drugi trasę do Warszawy tak jak ów papier gazetowy. Nie wiem czy wszystkich państwa zadowolili.

Fakt, że posłużyłam się tu przykładem Polomskiego jest zupełnie przypadkowy, bo inni piosenkarze również biegają po estradzie, zwłaszcza jeśli mają gdzie. Gdyby to ode mnie zależało, wprowadziłabym dla piosenkarzy miesięczny obowiązek śpiewania w klatkach, a dla zapowiadaczy egzamin wstępny z inteligencji i poczucia humoru. Żeby znów można było ich nazwać konferansjerami.

JOANNA SERGONT

## O FILMACH DOBRZE I ZŁE

Temat „mafia” stanowił do niedawna jeden z głównych czynników określających postępowy, społecznie zaangażowany nurt kina włoskiego. Trudno może wyrokować, o tym, co spowodowało pewną dewaluację wagi tego tematu, być może częstotliwość powrotów do niego, faktem jest, że autorów filmów mafijskich coraz bardziej urzeka egzotyka widowiskowości obyczajów sycylijskiego, a coraz mniej istotne jego źródła. „PIĘKNA NIE CHCE MILCZEĆ” Damiano Damiano jest w porównaniu na przykład z „Salvatore Giuliano” Franco Rosiego filmem zaledwie kokietującym widza tematem, a przede wszystkim przyjęto we Włoszech właśnie jako próbę ratowania istotnych wartości filmów mafijnych.

„Piękna nie chce milczeć” jest filmową wersją autentycznego wypadku, który miał miejsce w 1966 roku na Sycylii i był znany we Włoszech jako „sprawa Violli”. Kilkunastoletnia Franca Violli, wbrew tradycyjnemu sycylijskim zwyczajom, odmówiła wyjścia za mąż za młodzieńca, który porwanem usiłował ją do tego zmusić. Co więcej, oddała go w ręce policji. Tem i podobnym całej tej historii tak w życiu jak i w filmowej transpozycji są określone odwieczną tradycją obyczaje, podtrzymywane wpływami i interesami mafii. Damiano opowiadając historię młodzieńczej, uparcie walczącej o swe prawa i godność dziewczyny, nie szczędził w zasadzie informacji o tym, iż miasteczko, w którym rzecz cała się toczy, żyje pod terrorem dwu zwalczających się mafii, a cały nieoczekiwany bunt dziewczyny, jest w istocie sprzeciwem wobec ich siły. Jednocześnie jednak urzekli Damiano widowskowe i sensacyjne aspekty całej tej opowieści. Wyniła z tego zgrabna i atrakcyjna historia miłosna i nieuniknione pływaczki sondaży społecznej.

Nie można oprzeć się wrażeniu, iż „Piękna nie chce milczeć”, jest przykładem pewnego rozmielenia na drobne tematu, którego podejmowanie było ongi niezaprzeczalnym wy-

kładnikiem wrażliwości i postaw społecznych. Tak, jak kiedyś neorealizm stawał się powolną opowieścią „biednych, ale pięknych”, tak i teraz mafijskie sprawy stają się źródłem atrakcyjnych dla widza, ale w końcu mało ważnych filmowych historyjek. Może to ocena nieco surowa, ale pamiętam Damiano Damiano, który z historii obyczajowej czy sensacyjnych („Szminka do ust”, „Najemny morderca”) potrafił robić naprawdę ważne społeczne filmy.

Przy okazji filmu „Piękna nie chce milczeć” pozwalam sobie zwrócić uwagę na twórczość Ennio Morricone, kompozytora, którego znakomita muzyka wypełnia dziś sale kinowe na całym świecie. Warto tu może powiedzieć, iż w ciągu 10 lat napisał Morricone muzykę do 80 filmów. Związany od początku swej twórczości z „nowym kinem” włoskim (M. Bellocchio, B. Bertolucci), dziś pisze mu-

zykę znakomitym reżyserem wielu kinematografii. Zapewniam, że warto na nią zwrócić uwagę.

Na początku naszego stulecia w małym miasteczku amerykańskiego Południa mały Lucius McCaslin, bohater powieści Williama Faulknera przeżywał najpiękniejszą przygodę swego życia, wyniósł z niej doświadczenia, które oceniał w wieku dorosłym jako określające jego dalsze życie. Powrót w czas dzieciństwa jest jednym z najpiękniejszych motywów literatury amerykańskiej i oczywiście amerykańskiego filmu.

„KONIKORADY” w reżyserii Marka Rydella, tracąc, jak to często bywa nie tylko przy Faulknerze, niektóre niuanse znakomitej prozy, pozostając filmem, który stanowi cudowne lekarstwo dla wszystkich pochylonych i zgnębionych nie tylko smutkiem własnego wieku dojrzałego, ale i dojrzałej cywilizacji. Lekarstwem tym jest dana nam możliwość spojrzeń na świat oczyma dziecka, a świat Luciusa jest pięk-

ny, dobry, pogodny i jeśli zło się w nim pojawi, to na krótko, bo wszystko musi zmieścić ku dobremu.

W przygodach trójki bohaterów, którzy ukradzionym działadkiem, pierwszym w miasteczku kłosem, ruszyli na podbój świata, zawarto tyle znakomitego humoru i tyle pogody, iż można by nimi obdarować legion ponurackich i wątpliwych w piękno życia. Ponieważ jest to świat dzieciństwa, nikt z nas nie ma prawa nie wierzyć, iż tak było naprawdę, że ludzie są (byli?) dobrzy i mądry. Wśród wielu malowniczych postaci tego filmu króluje jak zwykle znakomity Steve McQueen w roli Boona, dziadek zaś (Will Geer) jest cudem sam w sobie, wybaczył przecież dwunastoletniemu wnukowi porwanie samochodu i wyprawy do domu publicznego. Piękny jest ten świat „Konikoradów”, w którym wiadomo, kto zły, a kto dobry i w którym jednocześnie zło wcale nie znaczy zło, świat, w którym samochód jest sensacją nawet w Memphis w stanie Tennessee.

EWA NURCZYŃSKA



## spektakle tygodnia

### Spektakle Tygodnia

ZA OKRES OD 5 DO 11. VI. 1972 R.

	Ilość spektakli	Liczba widzów	proc.
WIELKI			
„Legenda gruzińska”	2	2520	100
NOWY			
„Idiota”	4	2800	100
„Karabiny”	1	700	100
„Opowieści Lasku Wiedeńskiego”	1	350	50
NOWY — MAŁA SALA			
„Lekkomysłna siostra”	2	320	80
„Kocioł”	2	380	90
„Rodeo”	2	280	70
POWSZECHNY			
„Ojciec królowej”	4	2640	100
„Król Lear”	2	1320	100
„Perla”	2	1260	85
JARACZA			
„Szklanka wody”	6	3084	100
„Hamlet”	4	1736	83
7.15			
„Tredowata”	5	2105	100
OPERETKA			
„Kaper królewski”	6	3990	50
FILHARMONIA			
Koncerty symfoniczne	2	620	45

# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## JAZZOTEKA SWIATOWEJ SLAWY

Przy małej, cichej uliczce w Chatillon-sous-Bagneux na południu Francji stoi dom, w którego piwnicy znajduje się pierwsza jazzoteka świata — kolekcja płyt jazzowych oraz archiwum wycinków prasowych z recenzjami z koncertów.

Właścicielem tego bardzo bogatego i ciekawego zbioru jest Bert Bradford, jeden z największych kolekcjonerów. Od lat dwunastu miłośnicy jazzu, zawodowcy i amatorzy, interesują się i odwiedzają tę niezwykle ciekawą płytotekę.

Bert Bradford urodził się w Londynie. Zainteresował się jazzem gdy miał lat czternaście słuchając orkiestr angielskich. Posiada w swych zbiorach wiele ciekawych nagrań jazzowych z początków

lat trzydziestych. Ma m. in. płytę z nagraniem solowym Louisa Armstronga po jednej stronie, po drugiej zaś improwizację zapomnianego już skrzypka Joe Venuti. Bradford posiada płyty z czasów gdy po jednej stronie nagrywano na płytach orkiestrę jazzową czarnych, po drugiej zaś białych. Zachował także wielką ilość artykułów i recenzji również z lat trzydziestych m. in. „pewien artykuł krytyczny z roku 1935 zarzucający dziś tak sławnemu i powszechnie uznanemu Duke Ellingtonowi, banalność i przedziwność stylu.

Wbrew temu co można by sądzić, muzycy jazzowi nie dbają na ogół o płyty ze swymi aktualnymi nagraniami, toteż czasem dopiero po wielu latach starają się je zdobyć. Zgłaszają się wtedy do Berta Bradforda.

## JERWAND KOCZAR

W jednym z ostatnich numerów radzieckiego miesięcznika „Iskusstwo” znajdujemy m. in. artykuł o twórczości Jerwanda Koczara, autora słynnego pomnika przedstawiającego bohatera narodowego Armeni, Dawida Sasunskiego. Pomnik ten, wzniesio-

ny na jednym z placów w Erewaniu stolicy Armieńskiej SRR, stał się symbolem miasta.

Twórczość Koczara jest bardzo bogata i różnorodna. Artysta uprawiał wiele dziedzin sztuki plastycznej od malarstwa sztalugowego, poprzez grafikę aż do rzeźby. Urodził się w Tbilisi w Gruzji. Zdol-

ności plastyczne przejawiał bardzo wcześnie. W roku 1918, tj. gdy ma lat dziewiętnaście zostaje przyjęty na ostatni rok państwowej szkoły sztuk plastycznych. W rok po-



J. Koczar — Autoportret (1936).

tem skończy studia, potem przez kilka lat przebywał za granicą kształcąc się nadal, a od 1936 roku jest stałym mieszkańcem stolicy Armieńskiej SRR. Znany jest szeroko jako rzeźbiarz, jednak swą karierę artystyczną rozpoczął nie od rzeźby, lecz jako malarz i grafik. Pierwsze jego prace powstały w

latach 1912—1918. Rzeźbę uprawia od 1923 roku.

We wczesnej twórczości Koczara zaznaczyły się wpływy francuskiego impresjonizmu, a następnie kubizmu. Dość charakterystycznym dziełem tego kubistycznego okresu jest m. in. „Portret włoskiego poety” (1923). Jego własne i bardzo różnorodne i dojrzałe środki wyrazu i szeroka skala talentu zaznaczyły się najbardziej w ilustracjach do Dawidzie Sasunskim (1939) i do dzieła Cervantesa „Don Kichot” (1951). Cykl „Dawid Sasunski” został przez artystę potraktowany w stylu staroschodnich archaicznych płaskorzeźb, podczas gdy ilustracje do „Don Kichota” wykonane są w oparciu o tradycje sztuki europejskiej. Temat „Dawid Sasunski”, do którego artysta tak często powraca w swej twórczości, znalazł swe ukoronowanie w projekcie pomnika.

Obecnie 73-letni Jerwand Koczar pracuje nad nowym pomnikiem, który również ma być umieszczony na jednym z placów Erewania. Będzie to postać Wardana Mamikoniana, bohatera narodowego, który stał na czele ormiańskiego ludu w czasie walk wyzwoleniczych w V-tym wieku. Pracę nad tym projektem pomnika Koczar rozpoczął w 1964 roku.



J. Koczar — Portret kobiety, 1939.

## VICTOR VASARELY TWORZY MUZEUM NA WĘGRZECH

Znany współczesny malarz francuski Victor Vasarely jest z pochodzenia Węgrem. Urodził się w roku 1908 w Peczku. W Pary-

żu mieszka od roku 1930. Ostatnio postanowił on stworzyć w swej ojczyźnie, przy współpracy z władzami węgierskimi, dydaktyczne Muzeum Sztuk Plastycznych. Muzeum korzystać będzie ze specjalnej fundacji tego artysty.

## WYSTAWY CHAGALLA

Podczas gdy w Muzeum Narodowym w Warszawie mamy wystawę ponad 150 dzieł graficznych Chagalla, w brukselskim ratuszu odbywa się ekspozycja około 250 rysunków i litografii tego artysty, a w Paryżu Galeria Maeght zorganizowała wielką wystawę jego obrazów. W związku właśnie z tą wystawą tygodnik

francuski „Les lettres francaises” ukazał się w barwnej okładce prezentującej kilka z wybitnych dzieł Chagalla. Naczelny redaktor pisma, Aragon poświęcił artyście dwie kolumny tygodnika by w ciepłych i pełnych zachwytu słowach wyraził swój podziw dla twórczości malarza rodem z Witebska.



Afisz paryskiej wystawy Chagalla

## W 85 ROCZNICE URODZIN SAINT-JOHN PERSE'A

Saint-John Perse, poeta, laureat literackiej nagrody Nobla za rok 1956, dyplomata, urodził się w roku 1887 w Saint-Leger-les-Feuilles na wysepce leżącej u wybrzeży Gwadelupy. Jego przodkowie byli właścicielami tej wyspy, znanej z plantacji trzciny cukrowej, kawowców i kakaowców.

Prawdziwe nazwisko poety brzmi: Alexis Saint-Leger Léger. Opuścił on swą rodzinną wyspę, sprzedał dziedzictwo po rodzicach i osiadł na stałe we Francji, gdzie w Bordeaux ukończył studia wyższe. Wkrótce potem występuje do służby dyplomatycznej. Rok 1939 zastaje go we Francji na stanowisku sekretarza generalnego francuskiego MSZ. W roku 1940 rząd w Vichy, współpracujący z niemieckim okupantem, odbiera go obywatelstwo francuskie, a Gestapo konfiskuje i niszczy rękopisy sie-

dmiu lirycznych dzieł Saint-John Perse'a. Poeta udaje się na emigrację do Stanów Zjednoczonych, gdzie przetrwał całą wojnę.

Drukowanie swych poematów Saint-John rozpoczął jeszcze przed pierwszą wojną światową. Publikuje je po raz pierwszy w roku 1909 w „Nouvelle Revue Française” pt.: „Images a Crusoe” (Obrazy dla Robinsona Kruzoa). Jest w nich wiele elementów autobiograficznych, wiele wspomnień krajo-

brazu z dzieciństwa i wczesnej młodości. Saint-John Perse staje się już na zawsze poetą morza, słońca, wiatru, deszczu. Jest wizjonerem i piewą pierwotnych elementów natury i prastarych cywilizacji, zapomnianych rzemiosł, nieodczytanych hieroglifów, dawnych, zatartych dróg, opuszczonych świątyni. Pozostał wierny krajoobrazowi swej rodzinnej wyspy. Oplewa przyplify i odpływy morza, szerokie ląki i źródłaną wodę, egzo-

tyczne owoce, niebo i ludzkie ciała, nagie pod niebem i słońcem. Jego poezje są nie tylko wyrazem wybitnego lirycznego talentu lecz i owocem głębokich studiów. Jego dzieła, obok wielkiej sprawności warsztatowej charakteryzują się bogactwem i trafnością ciekawych metafor. Do najważniejszych utworów Saint-John Perse'a należą obok „Obrazów dla Robinsona Kruzoa” takie poematy jak „Pochwały”, „Anabaza”, „Wygnanie”, „Deszcze”, „Śniegi”, „Wiatry”. Jego utwory, przynajmniej we fragmentach, tłumaczone są niemal na wszystkie języki świata. Poezja Saint-John Perse'a wywarła znaczny wpływ na twórczość wielu współczesnych poetów.

## ZMARŁ CECIL DAY-LEWIS

W wieku lat 68 zmarł w Londynie angielski poeta i powieściopisarz Cecil Day-Lewis. W latach trzydziestych należał, jako jeden z wybitniejszych talentów, do grupy młodych angielskich poetów lewicy. W latach późniejszych jego liryczna twórczość zatracła akcenty społeczno-polityczne, stając się bardziej osobistą i refleksyjną.

Cecil Day-Lewis był profesorem na uniwersytecie w Oxfordzie, gdzie przed laty sam studiował. Wydał kilkanaście zbiorów wierszy m. in. „Od piór do żelaza”, „Pora tańczyć”, „Wizyta w Itali”, „Pegaz i inne poezje”. Jest też autorem prac krytycznych na temat poezji. Napisał m. in. esej pt. „Zadania poety”. Bardziej niż poeta, popularny był jako autor powieści kryminalnych, które podpisywał pseudonimem Nicholas Blake. Tłumaczył też na język angielski Wergiliusza.

## FRANCE CLIDAT NAGRYWA LISZTA

Francuski pianista France Clidat, laureat wielkiej nagrody Académie du Disque Française w roku 1971, postanowił nagrać na płytach całość twórczości fortepianowej Franciszka Liszta, tj. ponad 280 utworów. Połowę swej pracy już wykonał.

W roku 1956 Clidat zdobył nagrodę im. Liszta na Międzynarodowym Konkursie w Budapeszcie.

JERZY WIDOK

**OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI**

## PAN W CIEMNYCH OKULARACH

PISARSTWO PRUSA — WYSTAWA W BIBLIOTECE  
— KRONIKA 40 LAT — BALZAKOWSKI ZMYŚL —  
ZARLIWOŚĆ I TROSKA — PISARZ BEZ POMNIKA.

Biblioteka Uniwersytecka wypracowała sobie piękną tradycję wystawienniczą, eksponując bardzo interesujące zestawy dotyczące bądź to pisarzy, bądź pewnych kręgów tematycznych. Do szczególnie udanych wystaw z tej serii zaliczyłbym ekspozycje Norwida i Dostojewskiego.

Wydawać by się mogło, że wystawa książek, fotografii i rękopisów, to raczej dość nudne przedsięwzięcie. Okazuje się, że nieprawda. Śledząc gabloty wyładowane książkami, siedzi się jednocześnie hi-

storie — jej zakrety, stosunek do pisarza czy tematu, obserwuje się niejako wykres wydawniczych i czytelniczych zainteresowań i preferencji... Słowem, jeśli się dobrze przyjrzeć, można z tych gablot, z tych książek wyczytać wiele — nie odwracając nawet jednej kartki.

Ostatnio w Bibliotece Uniwersyteckiej gościł Bolesław Prus. Największy chyba, a na pewno najmądrzejszy, najbardziej przenikliwy pisarz polski. Niski pan w ciemnych o-

kularach, cierpiący na lek przestąpienia — a jednocześnie tak wielki, tak ostro i daleko widzący i taki ogrom literackiej przestrzeni wypełnił swoim pisarstwem.

Świadomie używam tu określenia „pisarstwo”. Prus bowiem nie był powieściopisarzem, nowelistą, felietonistą. Był pisarzem i każdy rodzaj, który uprawiał, nosi do dziś — ponad pół wieku po jego śmierci — znak najwyższej próby pisarskiej. Uprawiał pisarstwo — mądre, nieklamane, zaangażowane.

„Kroniki Tygodniowe” pisywał regularnie przez lat bez mała czterdzieści. Umierały pisma, plajtowali wydawcy, a Prus niezmordowanie pisał swój stały felieton, „użerał się z głupotą i złością ludzką”. „Kroniki Tygodniowe” drukował kolejno w „Ku-

rierze Warszawskim”, „Nowinach” (których redaktorem był przez krótki czas), „Kurierze Codziennym”, „Gońcu”, „Tygodniku Ilustrowanym”... Jeśli czasem ktoś przywoła w pamięci tytuły tych pism, to przecież głównie dlatego, że Bolesław Prus drukował w nich swoje felietony.

Bowiem wielkość przenikliwego i mądrego pana Prusa tkwi nie tylko w „Lalce”, „Faraonie”, „Emancypantkach”, nie tylko w jego twórczości powieściowej i nowelistycznej — ale także w tym codziennym gazetowym felietonie.

Często czytamy encyklopedyczne notki, w których dowodzi się, że „Kroniki” były dla Prusa prawdziwą szkołą pisarstwa. Jest to jedna z wielu bujd, stereotyp wytarty, który zakłada, jakże fałszywie,

pośledniość felietonowego gatunku uprawianego przez Prusa. Autorzy tych notek jak gdyby wstydził się za pisarza, że przez lat bez mała czterdzieści pisał gazetowy felieton, próbują go przeto usprawiedliwić. Nonsens. Sam Prus traktował to swoje cotygodniowe pisarstwo nadzwyczaj poważnie, jako istotną służbę społeczną. „Kroniki” przyniosły nie tylko bogatą panoramę obyczajową ówczesnej Warszawy, ale dały wyraz krytycyzmowi pisarza wobec czasów, w których żył. Są pełnowartościową i istotną częścią wielkiego pisarstwa Bolesława Prusa.

Przed kilkudziesięciu laty Stanisław Brzozowski, krytyk surowy, gromiący i Sienkiewicza i Przemyskiego i Zeromskiego i Gąsiorowskiego pisał: „Czuje się w psychologii postaci

Prusa, w samym języku, jakim mówi, one, wpływ nieustannie dokonywającej się zmiany w strukturze społecznej (...) Prus ma balzakowski zmysł środowisk społecznych”. A przed paru tygodniami Antoni Słonimski pisał: „Była w tym pisarzu jakas żarliwa troska o człowieka przyszłości, był jednym z wielkich wychowawców, mądrym i cierpliwym nauczycielem i nie jego to wina, że miał gnuśnych i leniwych uczniów”.

Takie to refleksje i przypomnienia rodzi ta wystawa w Bibliotece Uniwersyteckiej — i jeszcze zdziwienie, że ten największy polski pisarz, najbardziej warszawski z wszystkich pisarzy, nie ma w stolicy swego pomnika.



AGATHA CHRISTIE

## TAJEMNICA KUFRA

Osoby:

major Charles Rich,  
komendant Jack Laren, przyjaciel domu Claytonów,  
małżeństwo Margarita i Arnold Clayton,  
małżeństwo Lynda i Jeremy Spence,  
lady Abbie Chatterton, przyjaciółka Margarity,  
lokaj William Burgess.

Pewnego dnia detektyw Herkules Poirot przeglądając gazetę zatrzymał wzrok na tytule: „Tajemnica kufra”. Podane w artykule fakty przedstawiały się sensacyjnie. Major Charles Rich pewnego wieczora zaprosił do swego domu przyjaciół: dwa małżeństwa — Clayton i Spence oraz Jacka Larena.

W ostatniej chwili wycofał się z uczestnictwa w przyjęciu Arnold Clayton, ponieważ został telegraficznie wezwany do Szkocji i musiał wyjechać po cięgiem o 20.15.

Wieczorek był przyjemny i zakończył się o 23.45. Czwórka gości odjechała taksówką. Komendant Laren wysiadł pierwszy, potem Spence'owie odprawili Margaritę Clayton do domu i wrócili do siebie.

Zbrodnię wykrył następnego dnia kamerdyner Burgess. Nie mieszkał w domu Richa, lecz przychodził codziennie, aby uprządkować salon przed podaniem herbaty majorowi. Gdy czyścił dywan, zauważył kolorową plamę obok kufra. Uniósł wielko, zajrzał do wnętrza kufra i przeraził się: na dnie leżał trup Claytona, kark miał przebity sztyltem.

Burgess wybiegł na ulicę i przywołał pierwszego napotkanego policjanta.

Rozpoczęły się badania. Pani Clayton stwierdziła, że widziała się z mężem poprzedniego dnia o godzinie 18. Oznajmił, że musi jechać do Szkocji w

sprawach majątkowych. Nalegał, żeby poszła sama na przyjęcie. Wyszedszy z domu Clayton udał się do klubu, gdzie spotkał Larena. Po wypiciu kieliszka wina oznajmił, iż po drodze na stację wstąpił do majora Richa, aby usprawiedliwić swą nieobecność.

Według zeznań Burgessa pan Clayton przybył do majora o 19.45. Nie zastał gospodarza, wszedł do salonu, aby napisać bilecik z przeprosinami. Kamerdyner poszedł do kuchni, gdzie przygotowywał kanapki. Dziesięć minut później wrócił major i wysłał Burgessa po papierosy tureckie dla pani Spence. Gdy kamerdyner przyniósł papierosy, nie zastał już Claytona.

Major zeznał, że nie spotkał Claytona i nie znalazł żadnego biletu. O podróży do Szkocji dowiedział się później od pani Clayton.

Gazety podały jeszcze jedną wiadomość: pani Clayton wyzerpana szokiem zamieszkała u swej przyjaciółki.

Major Rich został oskarżony o zabójstwo i aresztowany.

Poirot przypuszczał, że między mężczyznami doszło do kłótni i jeden zabił drugiego. Kochanek zaszyłtował męża, ukrył go potem w kufrze, gdyż za chwilę mógł ktoś wejść do salonu.

Następnie odbywa się przyjęcie, goście żegnają się, kamerdyner odchodzi... a major

kładzie się do łóżka. To dziwne!

Wiem zadzwonił telefon. Detektyw podniósł słuchawkę.

— Czy pan Poirot?

— Tak, ja.

— Świetnie! Tu mówi Abbie Chatterton.

— Czym mogę pani służyć?

— Proszę przyjść do mnie jak najprędzej, jest mi pan bardzo potrzebny...

Detektyw wybrał się z przyjemnością do para Anglii. Pani Chatterton była kobietą piękną, mądrą, o niesłychanej żywotności.

— Jakże się cieszę, że pana widzę! — przywitała go. — Proszę wejść do salonu, czeka tam już moja przyjaciółka Margarita.

Gospodyni przedstawiła detektywa. — Kochanie, to jest sławny Herkules Poirot. Zrobił wszystko, co będzie trzeba. To powiedziawszy pani wyszła z pokoju.

Pani Clayton miała ciemne włosy i szare oczy. Czarna sukienka podnosiła biel jej delikatnej karnacji.

— Abbie mówi, że pan mi pomoże. — Spojrzała na detektywa pytającym wzrokiem.

— Co mam uczynić?

Zdziwiła się. — Myślałam, że pan wie kim jestem.

— Wiem, pani mąż został zabity, a policja aresztowała majora Richa.

Zaczerwieniła się. — To nie on zabił mojego męża.

— Dlaczego jest pani taka pewna, że nie zabił?

— Ponieważ... — zamilkła na chwilę — ponieważ znam dobrze majora.

— Jak dawno?

— Pięć lat... nie, prawie sześć.

— Muszę zadać niedyskretnie pytania. Czy pani mi ufa?

Margarita westchnęła. — Tak, muszę zaufać.

— Czy pani chce, abym wykrył, kto zabił męża?

— Myślę... że tak.

— Ale to nie najważniejsze. Chcę pani, żebym oczyścił majora z podejrzeń.

Kobieta natychmiast przytaknęła.

— Czy pani jest kochanką majora?

— Nie.

— Ale on jest zakochany w pani?

— O, tak!

— A pani zakochana w nim?

— Myślę, że tak.

— Jak dawno pani jest zamężna?

— Jedenaście lat.

— Proszę mi opowiedzieć o mężu.

— Był spokojny, opanowany, nigdy nie widziałam, co myśli. Mówiono o nim, że w pracy jest bystry, zręczny.

— Był w pani zakochany?

— Jeszcze jak! I zazdrośny o innych mężczyzn. Czasem po kilka dni nie rozmawiał ze mną. A co pan myśli na temat zabójstwa?

— Wiem tylko to, o czym pisały dzienniki, według których dwie osoby mogły zabić Claytona: major lub kamerdyner. Po zamordowaniu Claytona kamerdyner mógł ukryć trupa do kufra przed nadejściem majora. Rano udał, że odkrył plamę na dywanie.

— Ale dlaczego miałby zamordować mojego męża?

— Motyw nie jest jasny, gdyż policja dawno by go wykryła. A co pani myśli o Burgessie?

— Dobry kamerdyner, a poza tym nie szczególnego.

— Ile ma lat?

— Około 38. Podczas wojny był ordynansem oficera.

— Jak dawno jest u Richa?

— Chyba półtora roku.

— Czy pani nie zauważyła, że zachowywał się dziwnie wobec męża?

— Przychodziliśmy do majora bardzo rzadko.

— Proszę mi opowiedzieć o wszystkich wydarzeniach owego wieczora. Na którą godzinę zostaliście zaproszeni?

— Na 20.30.

— Jak was przyjmowano?

— Była zimna kolacja... zwykłe bardzo smaczna, kanapki, losos wędzony itd. Potem muzyka. Charles ma stereofoniczny gramofon, a mój mąż i Jack pasjonują się muzyką klasyczną. Tańczyliśmy także.

W sumie: miły wieczór wśród najlepszych przyjaciół.

— Czy to przyjęcie było takie same jak wszystkie inne u Richa? Czy pani nie zauważyła czegoś niezwykłego? Nie na miejscu?

— Nie na miejscu? — Zmarszczyła czoło. — Gdy pan to

powiedział ja... coś było... Nie, nie bawiliśmy się wszyscy doskonale!

— A ta sprawa, która wzywała męża do Szkocji... Co to było?

— Prawdopodobnie chodziło o sprzedaż części gruntu z jego majątku.

— Co mąż powiedział?

— Wszedł do mieszkania z depezą w rękę i zawołał: „Muszę natychmiast jechać do Edynburga! Myślałem, że ta sprawa już została załatwiona, a tymczasem...” Mówił, że przed wyjazdem wstąpi na chwilę do klubu. I odtąd już go nie widziałam.

— Czy pokazał depezę?

— Nie.

— Szkoda.

— Dlaczego pan tak mówi? Detektyw nie odpowiedział.

— A teraz do roboty! Jak się nazywają adwokaci majora Richa?

Kobieta wymieniła nazwiska, Poirot zapisał.

— Proszę skreślić kilka słów do nich, chciałbym zobaczyć majora. Przyda się także bilecik do Larena i do państwa Spence, żeby nie wyrzucili mnie za drzwi. Muszę ich wszystkich poznać. A może pani coś o nich opowie?

— Jack Laren jest naszym starym, wiernym przyjacielem. Znam go od dziecka.

— I na pewno jest także zakochany w pani?

— Kochał mnie zawsze — odpowiedziała Margarita.

— A państwo Spence?

— Lynda Spence ma duże powodzenie. Mój mąż lubił z nią rozmawiać. To jest sprytna kobieta.

— A jej mąż?

— O, Jeremy jest zachwycający, zna się na malarstwie, chodził z nim często na wystawy.

— No dobrze, resztę sam zobacz. Mam nadzieję, że nie będzie pani żałowała, że zajęłam się tą sprawą.

— Dlaczego miałabym żałować?

— Nigdy nie wiadomo...

Poirot schodząc po schodach myślał o pięknej Margaricie Clayton. Niektóre kobiety, nawet niewinne, mogą być przyczyną zbrodni...

Poirot spotkał się z adwokatami Richa, lecz ci odnieśli się niechętnie do inicjatywy pani Clayton. Detektyw miał jednak wpływ w departamencie policji i nie potrzebował pomocy adwokatów w uzyskaniu zezwolenia na rozmowę z więźniami.

Przyjął go inspektor Miller, który zajmował się sprawą Claytona. — Co pan sobie życzy? — zapytał.

— Chcę wykazać, że Rich nie popełnił zbrodni. Chciałbym dowiedzieć się kilku szczegółów. A więc: przypusz-

czalna godzina śmierci, jakiej broni użyto.

— Godzinę trudno ustalić, gdyż zbadano zwłoki dopiero nad ranem. Mógł umrzeć między 19 a 21. Przebito mu cieniem sztyltem tętnicę szyjną. Jak dotąd nie wiadomo skąd sztyllet pochodził.

— Interesuje mnie depeza — rzekł Poirot. — Czy rzeczywiście wzywano Claytona do Szkocji?

— Nie było żadnej potrzeby.

— O której godzinie widział się z Larenem?

— Zjeżdżał razem posłkiem o 19.15. Następnie Clayton pojechał taksówką do Richa.

— Jak się zachowywał major tego wieczora?

— Pani Spence mówi, że był roztargniony. Nic dziwnego, miał trupa w kufrze.

— Dlaczego nie pozbył się go?

— Może nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. To szaleństwo zostawić zwłoki aż do następnego dnia. W nocy mógł je łatwiej usunąć. A tymczasem co zrobił? Położył się do łóżka i spał do rana póki go nie zbudziła policja.

— Widocznie miał czyste sumienie — mruknął Poirot...

Jeszcze tego samego dnia detektyw udał się z wizytą do komendanta Larena.

— Chciałbym, żeby pan odpowiedział szczerze na moje pytania — zaczął. — Czy pan sądzi, że Rich jest winny?

— Tak.

— Czy Clayton i Rich byli do siebie wrogo usposobieni?

— Nie, Arnold i Charles byli przyjaciółmi. Dlatego tak trudno zrozumieć to wydarzenie.

— Może przyjaźnił się pan Clayton z majorem...

— Bzdury, plotki! — przerwał Laren. — Margarita i Charles przyjaźnili się, nie więcej!

— Czy małżeństwo Clayton było szczęśliwe?

Laren zamyślił się. — Trudno powiedzieć... Sądzę, że nie byli szczęśliwi, nie mieli wiele ze sobą wspólnego. Lecz kochał ją bardzo.

— Proszę mi teraz opowiedzieć o tym wieczorze. Clayton jadł z panem kolację w klubie. Co mówił?

— Złocił się, że musi jechać do Szkocji.

— Czy pokazał depezę?

— Nie. Prosił żebym odprawił Margaritę do domu.

Detektyw pożegnał się z Larenem i pojechał do państwa Spence. Przyjechała go Lynda.

— Proszę mi powiedzieć, gdzie jest Margarita? — zapytała.

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

Dokończenie nastąpi



Lewym okiem

### O PUCHAR WIELKIEJ NIEDZWIEDZICY

Niedawno, zaledwie kilka lat temu, wyliczając największe osiągnięcia techniki wspominalo się także, że — kto wie — może jeszcze za naszego życia człowiek stanie na innej planecie? Było to śmiałe, wyzywające marzenie, ale uprawnione już wtedy niesłychanymi postępami wiedzy i wynalazczości. Dziś jesteśmy już lekko zbławonani kilkakrotną wizytą ludzi na Księżycu, a odwiedzin dalszych ciał niebieskich jakby się ciut odsunęły w dalszą, trudną do przewidzenia przyszłość. Powstały natomiast nowe problemy, domagające się interwencji wręcz prawniczej: w przestrzeni pozaziemskiej robi się ciasno od mechanizmów, wyrzucanych z Ziemi; pojazdy te zaczynają się mylić, trudno z nimi nadążyć rejestratorom i obserwatorom z całego świata, spadają gdzie chcą, a spadając mogą poczynić znaczne szkody. Mamy ubezpieczony rzepak od gradobicia, czy nie należałoby ubezpieczyć miast i wsi od padającego zelastwa?

Na stawie w warszawskim Parku Skaryszewskim wynajmuje się na godziny łódki i kajaki. Przed kilkudziesięciu laty to był wielki młodzieżowy — i nie tylko młodzieżowy — fason: zafundować dziewczynie łódkę, posadzić ją na ławeczce pod różową parasolką i wywiostować daleko pod Kamionek, gdzie można się było i pobać rozkosznie, i łódką pohuścić, i płaskim uderzeniem dłoni o wodę opryskać dla śmiechu kawalera. Łódki były pomumowane, ale gigantofonów — takich jak na ulicach dzisiejszych miejscowości wczasowych — jeszcze nie znano. Więc kiedy jakaś łódka przekroczyła czas wynajmu, odnośny funkcjonariusz na przystani brał do rąk wielką tubę od gramofonu i krzyczał ogromnym głosem: Dwunastkaaa — do brzegu!!! Ten wrzask niósł się po wodzie daleko, słychać go było na Pradze, na Grochowie, na Saskiej Kępie i na lewobrzeżnym Powiślu. Echo tego głosu czasem zabrzmi mi jeszcze w uszach jak symbol niedzisiejszych, słonecznych, zupełnie innych niedziel.

A oto w Genewie spotykają się przedstawiciele wielu państw i uchwalają pod patronatem ONZ, że wszystkie pojazdy kosmiczne, od Apolla któregoś tam poczwuszy, a na malutkim Telstarze skończysz, mają być ponumerowane i zarejestrowane w centralnej jakiej kartotece, jak taksówki, jak łódki w Skaryszewskim Parku. Meteorolog zamknięty w błazanej pestce, krzącący miesiącami po orbicie, będzie sobie dla rozrywki rozpoznawał przelatujące mimo sputniki: oho, ten zeszlarczy z Tokio. Ten — to chyba francuski. O, leci krążownik Mlecznych Drog z Florydy... nie, znak rejestracyjny z Rzeszowa, czego on tu szuka? Przystań gdzieś na Antarktydzie będzie przez tubę przywoływać krąqbrne

rakiety, oddalające się nazbyt od galaktyki. Siódemka — do brzegu!!! Może też urządzi się zawody kosmiczne o puchar Wielkiej Niedziedzicy. Ewolucje zawodników śledzić będziemy na radarach, wystawionych w wityrnach Argedu, redaktor Tomaszewski wyjaśni nam każdą kropkę i mrugnienie na ekranie — — coż za wspaniała paralaksa, już — już wchodzi na apogeum, no coż, mieliśmy pecha, w sporcie często ma się pecha, ale walczyliśmy dzielnie, nasi chłopcy nie zdejmują palców z guzików sterowych, robią co mogą, proszę państwa, ładują miękko, bardzo miękko, to też jest jakiś sukces, sukces nieprzewidywany, bo ładują na Księżycu zamiast na Alfie Omedze...

Niestety, jest też w układzie genewskim artykuł, nasuwający niejake melancholijne refleksje: układające się strony postanawiają nie urządzić na Księżycu manewrów wojskowych... Oczywiście, to bardzo dobrze, że tak postanawiają. Ale sam fakt, że taką możliwość bierze się pod uwagę, nie jest zbyt radosny. Nie wiem, czy za naszego życia wyładuje ktoś na tej czy innej planecie. Uczciwie mówiąc — wolałbym doczekać innej chwili: Kiedy zza każdej nowej, lotnej, wspaniałej, twórczej myśli człowieka przestanie straszycie cień możliwości obrócenia tej samej myśli przeciwko człowiekowi. Przeciwno życiu, przyszłości, czyli po prostu: kiedy każda myśl twórcza przestanie być jednocześnie nośnikiem genów absolutnego nihilizmu, unicestwienia, zagłady.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Pałuch (redaktor techniczny), Włodzisław Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 98, telefony: 244-78, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk.: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1407. D-7.